

KALENDARZ NA ROK 1883.

ROK LXIII.

N^o 1.

WYDZIAŁ
KRAJOWY
KRAJOWY



508
m. 2



Dnia 1 stycznia (20 grudnia)

1883.

KALENDARZ NA ROK 1883.

STYCZEŃ.

20	1	P.	Nowy rok 1883. Fulg. &
21	2	W.	Makarego Opat.
22	3	S.	Daniela M. i Genowefy P.
23	4	C.	Tytusa i Grzegorza B.
24	5	P.	Telesfora P. i Emiljanny
25	6	S.	* Trzech Króli.
26	7	N.	1 po 3 Kr. Lucjana M. i Teo-
27	8	P.	Seweryna Opat [dora W.
28	9	W.	Marcejan P. M.
29	10	S.	Agatona P. i Wilhelma B.
30	11	C.	Higina P. i Honoraty P.
31	12	P.	Arkadjusza M.
1	13	S.	* Weroniki Panny.
2	14	N.	2 po 3 Kr. Im. J. Hilarego B.
3	15	P.	Pawła i Pusteln. [i Feliksa
4	16	W.	Marcella P. i Ottona
5	17	S.	Antoniego Opat W.
6	18	C.	Katedry św. Piotra w Rzym.
7	19	P.	Kanuta Kr. i Henryka B.
8	20	S.	Fabjana i Sebastjana MM.
9	21	N.	Starozap. Agnieszki P. M.
10	22	P.	Wincentego i Anastaz. M.
11	23	W.	Zasłub. N. M. P. i Ildef.
12	24	S.	Tymoteusza B. M.
13	25	C.	Nawrócenie św. Pawła Ap.
14	26	P.	Polikarpa B. i Pauliny Wd.
15	27	S.	Jana Chryzost. B. W. D. K.
16	28	N.	Mięsop. Flawiana i Leonid.
17	29	P.	Franciszka Salezego B. D. K.
18	30	W.	Martyny P. M.
19	31	S.	Piotra Nelasko i Marcel. &

LUTY.

20	1	C.	† Ignacego B. i Brygidy P.
21	2	P.	Oczyszczenie N. M. P.
22	3	S.	Blazeja Biskupa Męczen.
23	4	N.	Zapustna. Ansgarego i An-
24	5	P.	Agaty P. M. [drzeja BB.
25	6	W.	Doroty P. M. i Teofila.
26	7	S.	† Popielec. Romualda Op. &
27	8	C.	Jana z Matty Wyznawcy.
28	9	P.	Apolonji P. Męczenicki.
29	10	S.	Scholastyki Panny.
30	11	N.	Wstęp. Lucjana Biskupa.
31	12	P.	Gaudentego B. W. i Eulalii.
1	13	W.	Juliana M. i Eufrozyny P.
2	14	S.	† Walentego Kapł. Męc.
3	15	C.	Faustyna i Jowity M. i Jor-
4	16	P.	† Juljanny P. M. [dana W.
5	17	S.	† Sylwiusza B. i Donata M.
6	18	N.	Sucha. Symeona Bisk. M.
7	19	P.	Konrada Wyzn.
8	20	W.	Eucherjusza i Leona B.
9	21	S.	Maksymjana Biskupa.
10	22	C.	Katedry św. Piotra w Ant. &
11	23	P.	Piotra Damiana B. D. K.
12	24	S.	Macieja Apostoła.
13	25	N.	Glucha. Sygryda Biskupa.
14	26	P.	Aleksandra B. i Fortunata M.
15	27	S.	Leandra Biskupa.
16	28	W.	Romana Opat.

* Oznacza dni galowe.
† Oznacza wigilie i posty.

MARZEC.

17	1	C.	Albina B. i Antoniny M.
18	2	P.	Heleny Cesarzowej. &
19	3	S.	Kunegundy Cesarzowej.
20	4	N.	Srodop. Kazimierza Królew.
21	5	P.	Teofila Biskupa.
22	6	W.	Wiktora i Wiktoryna M.
23	7	S.	Tomasza z Akwinu W.
24	8	C.	Jana Bożego i Beaty P.
25	9	P.	Franciszki Wdowy.
26	10	S.	* 40 Męczeników.
27	11	N.	Biała. Konstantyna Wyzn.
28	12	P.	Grzegorza Pap. D. K.
1	13	W.	Nicefora B. i Modesty P.
2	14	S.	* Matyldy Król. Wdowy.
3	15	C.	Longina Męczennika.
4	16	P.	7 Bol. N. M. P. Cyrjaka D.
5	17	S.	Gertrudy P. i Patryka B.
6	18	N.	Kwintia. Gabryela Arch.
7	19	P.	Józ. Obl. N. M. P.
8	20	W.	Archippa W. i Wincent. B.
9	21	S.	Benedykta Opat.
10	22	C.	Wielki. Boguchw. i Oktaw.
11	23	P.	Wielki. Katarzyny Kr. Sz. &
12	24	S.	Wielka. Marka i Tymoteusza
13	25	N.	Wielkanoc. Ireneusza B.
14	26	P.	Świętny. Ludgiera Bisk.
15	27	W.	Rupert B. i Aleksandra &
16	28	S.	Syxta P. i Doroteusza M.
17	29	C.	Cyrylla M. Diakona
18	30	P.	Kwiryna M. i Angeli.
19	31	S.	† Balbiny P. i Kornelli M. &

KWIECIEŃ.

20	1	N.	Przewodnia. Teodory M.
21	2	P.	Zwiaszt. N. M. P. i Franci-
22	3	W.	Ryszarda Bisk. [szka & P.
23	4	S.	Izydora Biskupa Dokt. K.
24	5	C.	Wincentego Ferejusza.
25	6	P.	Wilhelma Op. i Celestyna P.
26	7	S.	Epifanjsza B.
27	8	N.	2 po W. Grob. Chr. Djonizego.
28	9	P.	Marii Kleofy.
29	10	W.	Ezechjela Proroka.
30	11	S.	Leona Papieża D. K.
31	12	C.	Juljusza P. i Damjana B.
1	13	P.	Hermenegilda Królewicza.
2	14	S.	Tyburcjusza i Walerjana. &
3	15	N.	3 po W. Op. & Józ. Anastazji i
4	16	P.	Lamberta M. [Bazyliis P.
5	17	W.	Aniceta P. i Męczenika
6	18	S.	Apolonjusza M.
7	19	C.	Hermogenesa M.
8	20	P.	Sulpjusza M.
9	21	S.	Anzelma B. Dokt. K.
10	22	N.	4 po W. Sotera i Kaja M. &
11	23	P.	Wejciecha B. Męc.
12	24	W.	Jerzego M. i Fidelisa Kapł.
13	25	S.	Marka Ewangelisty
14	26	C.	Marcelina i Kleta Męc.
15	27	P.	Teofila Biskupa.
16	28	S.	Witalisa M. i Pawła od krz.
17	29	N.	5 po W. Piotra Męczen.
18	30	P.	Katarzyny Seneńskiej. &

M A J.

19	1	W.	† Filipa i Jakóba Apost.
20	2	S.	† Zygmunta Kr. i Atanazego.
21	3	C.	Wniebowst. P. Znal. S. Kr.
22	4	P.	Florjana M. i Moniki Wd.
23	5	S.	Piusa V Papieża.
24	6	N.	6 po W. Jana Ap w Oleju. &
25	7	P.	Domicelli Panny.
26	8	W.	Stanisława Bisk. M.
27	9	S.	Grzegorza B. Naz. D. K.
28	10	C.	Izydora Or. i Antonina B.
29	11	P.	Mamerta Bisk.
30	12	S.	† Pankracego M
1	13	N.	Zesł. Duch. s. N. M. P. &
2	14	P.	Świętny. Bonif. [i Serw. &
3	15	W.	Zofii z 3-a córkami.
4	16	S.	† Jana Nepomucena K. M.
5	17	C.	Paschalisa Wyznawcy.
6	18	P.	* Feliksa Kapł. i Eryka Kr.
7	19	S.	† Celestyna P. i Iwona W.
8	20	N.	Trójcy św. Bernarda Sen.
9	21	P.	Donata i Wiktora M.
10	22	W.	Julji P. M. i Heleny P. &
11	23	S.	Dezyderjusza B.
12	24	C.	Boże Ciało. Joanny Wdowy
13	25	P.	Grzegorza VII i Urbana P.
14	26	S.	Filipa Nerensza Wyzn.
15	27	N.	2 po Sw. Magdaleny de Paz.
16	28	P.	Germana B. [i Jana P.
17	29	W.	Teodozji Męc.
18	30	S.	Feliksa P. M. i Ferdynanda.
19	31	C.	Petronelli i Anieli PP.

CZERWIEC.

20	1	P.	Serc. Jez. Fortunata Kap. i
21	2	S.	Blandyny P. M. [Prokula.
22	3	N.	3 po Sw. Erazma B. i Klotyl.
23	4	P.	Optata B. i Saturniny P.
24	5	W.	Bonifac. B. M. i Walerji. &
25	6	S.	Norberta Biskupa.
26	7	C.	Roberta Opat.
27	8	P.	Maksymina i Medarda B.
28	9	S.	Pryma i Felicjana M.
29	10	N.	4 po Sw. Małgorzaty Kr. S.
30	11	P.	Barnaby Apostoła.
31	12	W.	Onufrego Pust. i Eshila. &
1	13	S.	Antoniego z Padwy.
2	14	C.	Bazylego Biskupa Dokt. K.
3	15	P.	Wita i Modesta M.
4	16	S.	Benona B. i Justyny P.
5	17	N.	5 po Sw. Adolfa Bisk.
6	18	P.	Marka i Marceljana M.
7	19	W.	Gerwaz. i Protaz. MM.
8	20	S.	Sylwerjusza Papieża. &
9	21	C.	Alojzego Gonzagi.
10	22	P.	Paulina Biskupa.
11	23	S.	Agrypiny Panny M.
12	24	N.	6 po Sw. Narodz. św. J. Chrz.
13	25	P.	Prospera Biskupa.
14	26	W.	Jana i Pawła MM.
15	27	S.	Władysława Króla Węg. &
16	28	C.	† Ireneusza B. i Leona II P.
17	29	P.	Piotra i Pawła Apost.
18	30	S.	Emilji i Lucyny PP.

L I P I E C.

19	1	N.	7 po Sw. Teodoryka Kapł.
20	2	P.	Nawrócenie N. M. P.
21	3	W.	Heljodora i Anatoljusza B.
22	4	S.	Józefa Kalasantego W. &
23	5	C.	Cyryla i Metodego B.
24	6	P.	Dominiki Panny M.
25	7	S.	Apolonjusza i Wilibalda B.
26	8	N.	8 po Sw. Jana z Duk. i Elżb.
27	9	P.	Cyrylla B. i Anatolji M.
28	10	W.	7 braei M. synów Felicyty.
29	11	S.	Sabina W. i Pelagji P. M.
30	12	C.	Jana Gwalberta Opat &
1	13	P.	Małgorzaty P. M.
2	14	S.	Bonawentury B.
3	15	N.	9 po Sw. Rozesł. Ap. i Henr.
4	16	P.	N. M. P. Szkaplerznej.
5	17	W.	Aleksego Wyznawcy.
6	18	S.	Szymona z Lipn. i Kamilla.
7	19	C.	Wincentego & Paulo W.
8	20	P.	Eljasza Pr. i Czesława W. &
9	21	S.	Praksej P. i Daniela Pr.
10	22	N.	10 po Sw. Marji Magdaleny.
11	23	P.	Apolinarięgo B. M.
12	24	W.	Krystyny P. M.
13	25	S.	Jakóba Ap. i Krystofa M.
14	26	C.	Anny Wdki N. M. P.
15	27	P.	Natalji P. M. i Pantaleona. &
16	28	S.	Innocentego P. i Celsa M.
17	29	N.	11 po Sw. Kun Kr. P. Marty
18	30	P.	Abdona i Senneny [i Serafin
19	31	W.	Ignacego Lojoli W. i Heleny

SIERPIEŃ.

20	1	S.	Piotra w Okowach.
21	2	C.	N. M. P. Aniel. i Alfonsa L.
22	3	P.	* Znal. S. Szczepana M. &
23	4	S.	Dominika Wyzn.
24	5	N.	12 po Sw. N. M. P. Śnieżnej.
25	6	P.	Przemienienie Pańskie.
26	7	W.	Kajetana Wyznawcy.
27	8	S.	Cyrylaka, Larga i Smatagda.
28	9	C.	Romana M.
29	10	P.	Wawrzyńca M.
30	11	S.	Zuzanny i Dvgnj Panien. &
31	12	N.	13 po Sw. Kłary Panny.
1	13	P.	Hilolita i Kasiana MM.
2	14	W.	† Enebjusza Wyznawcy.
3	15	S.	Wniebowst. N. M. P.
4	16	C.	Rocha Wyznawcy.
5	17	P.	Anastazjusza B.
6	18	S.	Agapiła Męczennika. &
7	19	N.	14 po Sw. Jacka i Rufina W.
8	20	P.	Benarza Op. D. K.
9	21	W.	Joanny Fremjot Wd.
10	22	S.	Symforiana i Tymoteusza.
11	23	C.	Filipa Beniejsza Wyzn.
12	24	P.	Bartłomieja Ap
13	25	S.	Ludwika Króla &
14	26	N.	15 po Sw. Zefiryna P. M.
15	27	P.	Prz. S. Kazi. i Cezarjusza.
16	28	W.	Augustyna Biskupa.
17	29	S.	Ściegie s. Jana Chrzeciela.
18	30	C.	Róży Lim. P. i Feliksa M.
19	31	P.	Raimunda W. i Rufiny P.

WRZESIEŃ.

20	1	S.	Idziego Opat.
21	2	N.	16 po Sw. Poc. NMP. Joach.
22	3	P.	Bronisławy P. [ONMP i Stef.
23	4	W.	Rozalji Panormit. P.
24	5	S.	Wawrzyńca Justyniana B.
25	6	C.	Zachariasza Proroka.
26	7	P.	† Reginy Panny M.
27	8	S.	Narodz. N. M. P. i Adrijana
28	9	N.	17 po Sw. Im. Marji i Gorg. &
29	10	P.	Mikołaja z Tolent. Wyzn.
30	11	W.	* Prota M. i Emiljana B.
31	12	S.	Walerego i Salezego M.
1	13	C.	Mauryljusza Bisk.
2	14	P.	Podwyższenie św. Krzyża.
3	15	S.	Nikodem Kapł. M.
4	16	N.	18 po Sw. Najs. ser. N. P. &
5	17	P.	5 bliza s. Franciszka i Justyn.
6	18	W.	Józefa z Kopertynu.
7	19	S.	† Januarjusza B. Męc.
8	20	C.	Eustachjusza M.
9	21	P.	† Mateusza Apost. i Ewang.
10	22	S.	† Maurycego M.
11	23	N.	19 po Sw. Ead. z G. Tekli P. &
12	24	P.	N. M. P. od wyz. niew.
13	25	W.	Aureli Panny i Kleofasa M.
14	26	S.	Cyprijana M. i Justyn P.
15	27	C.	Przen. s. Stan. Kosmy i Dam.
16	28	P.	Wacława Kr. Czesk.
17	29	S.	Michała Archaniola.
18	30	N.	20 po Sw. Hieronima Kapł.

PAŹDZIERNIK.

19	1	P.	Remigjusza B. W. &
20	2	W.	Aniołów Stróżów.
21	3	S.	Kandyda Męczennika.
22	4	C.	Franciszka Serafińskiego W.
23	5	P.	Plaeyda M. i Flawji P. M.
24	6	S.	Brunona Wyzn.
25	7	N.	21 po Sw. N. M. P. Rdz. Ju-
26	8	P.	Brygidy Wdowy [styny
27	9	W.	Bogdana Op. i Dyonizego &
28	10	S.	Franciszka Borg. i Zygierz.
29	11	C.	Plaeydy P. [pod Chocim.
30	12	P.	Maksymiliana B.
1	13	S.	Edwarda Kr.
2	14	N.	22 po Sw. Winc. K. Kaliksta
3	15	P.	Jadwigi Wd. i Teresy P.
4	16	W.	Florentyna Biskupa. &
5	17	S.	Wiktora Biskupa.
6	18	C.	Łukasa Ewangelisty.
7	19	P.	Piotra z Alkantary.
8	20	S.	Przen. św. Wojc. i Ireny P.
9	21	N.	23 po Sw. Jana Kant. Urszuli
10	22	P.	Korduli P. i Alfonsa B.
11	23	W.	Jana Kapistrana Wyzn. &
12	24	S.	Rafała Archaniola.
13	25	C.	Kryspa i Kryspiana MM.
14	26	P.	Ewarysta Pap.
15	27	S.	Sabiny M.
16	28	N.	24 po Sw. Szym. i Judy Tad
17	29	P.	Narecza B. i Enebj P. M.
18	30	W.	Zenobji P. i Zenobjusza B.
19	31	S.	† Włofganga Biskupa. &

L I S T O P A D.

20	1
----	---

Z d. 1 Stycznia 1883 wychodzić zaczęło w Warszawie, pismo tygodniowe, poświęcone sprawom społeczno-gospodarczym, ekonomicznym i literackim p. t.:

ROLA

POD REDAKCJĄ

JANA JELEŃSKIEGO.

W pierwszych zaraz N-rach **Roli** drukować będziemy prace: Bliźnińskiego Józefa, Belzy Stanisława, Bykowskiego Jaxy, ks. Chelmskiego Zygmunta, d-ra Dobrzyckiego Henryka, Jeża T. T., d-ra Antoniego J. Junoszy Klemensa, Martynowskiego F. K., Merunowicza Teofila, Przyborowskiego Walerego, Reklewskiego Czesława, Rewieńskiego Stanisława, Wiercińskiego Henryka i innych.

Mamy przytem przyrzeczonego współudział znakomitego nestora pisarzy naszych **KRASZEWSKIEGO**, któremu tylko przeciągająca się choroba, nie pozwoliła ofiarować swej pracy do pierwszych N-rów **Roli**.

WARUNKI PRENUMERATY.

Rola kosztować będzie: w Warszawie, na prowincji i w Cesarstwie.

ROCZNIE: rs. 6 rs. 8 k. —

POŁROCZNIE: " 3 " 4 " —

KWARTALNIE: " 1 k. 50 " 2 " —

Prenumeratę na **Rolę** przyjmują wszystkie księgarnie. Najlepiej jednak należność nadsyłać wprost do redakcji: **Warszawa—Nowy-Swiat 4.**

Ogłoszenia do Roli przyjmują się za opłatą 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.—Redaktor i Wydawca

Jan Jeleński.

UWAGA.

Ponieważ 1-szy **NUMER ROLI** drukowanym będzie w takiej liczbie egzemplarzy, w jakiej zostanie zamówionym, uprasza się więc o **WCZESNE** nadsyłanie zamówień, pod powyższym adresem.

ROLA zgodnie z swoim terminem wychodzenia, wyjdzie w **PIERWSZĄ SOBOTĘ** po Nowym-Roku.

EKONOMISTA

Tygodnik ekonomiczny, finansowy i statystyczny, wychodzący w Warszawie od r. 1865.

drukuje artykuły przez specjalistów w sposób przystępny opracowane, a mające za przedmiot: obronę idei własności, polepszenie bytu klas pracujących, wytworzenie i rozdział bogactw, rolnictwo na wielkiej, średniej i małej przestrzeni, służebności, warunki normalnego rozwoju przemysłu i handlu. Wolność handlu i cła protekcyjne, kredyt, stowarzyszenia i spółki, instytucje kredytowe, komunikacyjne, transportowe i ubezpieczeń,—w ogóle wszystko to, co do podniesienia dobrobytu kraju przyczynić się może.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie	na prowincji i w Cesarstwie
rocznie Rubli 6.	rocznie rs. 8.—
półrocznie „ 3.	półrocznie „ 4.—
kwartalnie „ 1 kop. 50.	kwartalnie „ 2.—

Prenumerować można w Redakcji w Warszawie przy ulicy Ś-to Krzyżkiej Nr 10, w głównej ekspedycji w księgarni Lesmana i Swischowskiego przy ulicy Mazowieckiej Nr 14 i innych księgarniach w kraju, Cesarstwie i zagranicą.

OGRODNIK POLSKI.

SKŁAD NASION
Warecka Nr 6.

Numery próbne, cenniki i prospekty na żądanie franco.

N. S. BRÜNNER & Comp.
MAGAZYN GALANTERYJNY

w Hotelu Europejskim, w Warszawie,

otrzymuje oczekiwane transporty towarów galanteryjnych, a mianowicie Nowości paryżskich, bronzów, świeczników, żyrandoli, kandelabrow, porcelan: skiej, chińskiej, majolików, wyrobów szorstano-galanteryjnych, i suawek.

UŚMIECH I WESOŁOŚĆ

głosi rozpoczynający się karnawał.

Nie każdy jednak bawić się może, kto chce. — bo z dniem każdym, coraz cięższe nadechodzą czasy, coraz większa panuje drożyzna. A jednak z postępem czasu, drożyzna, przemysł i handel wyętnia wszystkie siły swoje, aby zrównoważyć smutny stan interesów, użyteczności i taniości przedmiotów użytku. Zabawa i wesołość szczególnie dla plebi pięknej, do ad połączone były z olbrzymim kosztem. Postarano się więc za możliwie niską cenę uprzęść nę dobry i gustowny towar.

Uczynić to mogła tylko moja od lat 16 egzystująca firma

S. Rosenberg

przy ul. Żabiej, vis-à-vis bramy Saskiego Ogrodu, obok fabryki pierników Ekstaedta,

która otrzymując towar z pierwszej ręki i w znacznych ilościach, a przytem posiadając zaufanie wyrobione długoletnią praktyką w fabrykach krajowych i zagranicznych, może sprzedawać towary białawne, po cenach niepraktykowane niskich, jak to poniżej wykazuje cennik porównawczy.

6.

CENNIK:

Satin Merveilleux jedwabny na suknie, niebieski, różowy, pruned i olive, wszędzie po rs. 2. u mnie tylko rs. 1.10.

Grenadyny jedwabne, różowe, erème i białe, na suknie balowe, wszędzie po k. 90 u mnie tylko k. 45

18 lok. Mozambique w jaśnych kolorach, za rs. 4.

10 lok. Kaszmiru 2 lok. szer., różowy, erème i niebieski, za rs. 7.

Alpaga Mohair szeroka, biała, niebieska, różowa, erème, po k. 45.

Wielki wybór **Muslinów i Tarlatanów**, białych i kolorowych.

Atlasy białe, czarne i kolorowe, po k. 65.

Adamaszki jedwabne, czarne, białe, niebieskie, różowe i erème, po rs. 1.10.

Aksamit czarny na bawelnianym spodzie, po rs. 1.50.

Aksamit Ljński 10k, po rs. 3.95.

Wielki wybór **Ręczników, Serwet i Obrusów.**

Szafa Weby 66 lok. za cenę, jak przed podniesieniem cła rs. 20.50.

Fotno zagraniczne, 3 lok. szer., czysto lniane na prześcieradła, po k. 60.

Wielki wybór niebieskie, granat, pruned i innych kolorów, po k. 65.

Flanelę czysto wełnianą, na suknie, 2 1/2 lok. szer., po k. 70.

Plusz 2 1/2 lok. szer., do paltotów, po rs. 5.

Wielki wybór **Kotów** gotowych, na wacie, wełn. i atlasowych.

Drelich adamaszkowy na matace i piernaty, po k. 37 1/2.

Furpur czerwony na wyspy, szeroki, po k. 25.

Greton zwany **cretonem** zdrowia, 1 1/2 lok. szeroki, po k. 14.

Prześcieradła gotowe, obrobione, po k. 85.

Szafka Płotna krajowego 30 1/2 lok., wszędzie rs. 4.80, u mnie tylko rs. 4.20.

Proszę więc, wymienionych, objętych cennikiem przedmiotów, kupujących znajdą u mnie wielki wybór **Serwet gotowych i strzyżonych, Dywanów strzyżonych, Pocien z najcenniejszych fabryk, oraz garniturów stołowych, chusiek, firanek, materyj i innych artykułów białawnych, których serówno taniość i dobroć zalecam.**

Najpraktyczniejsze kieszonkowe

WIECZNE LAMPKI

Zawiadamia się pp. Handlujących, że dawno oczekiwane kieszonkowe wieczne lampki, znajdują się na składzie w sklepie u **A. Nowakowskiego, Bielańska Nr 3, Hotel Lipski.**

Towarzystwo Ubezpieczeń

„ROSSJA“

z kapitałem zakładowym, pełno wpłaconym, rs. 4,000,000; przyjmuje ubezpieczenia od ognia i ubezpieczenia dochodów i kapitałów na życiu ludzkim oparte, na warunkach najdogodniejszych i po premjach możliwie niskich.

Towarzystwo ma swe prawne zamieszkanie w Warszawie. Ubezpieczenia przyjmuje i udziela wszelkich należnych informacji, bez żadnego za to wynagrodzenia.

Generalna Reprezentacja na Królestwo Polskie
w Warszawie, Marszałkowska N. 56, oraz wszyscy
Agenci Towarzystwa.

NA KARNAWAŁ

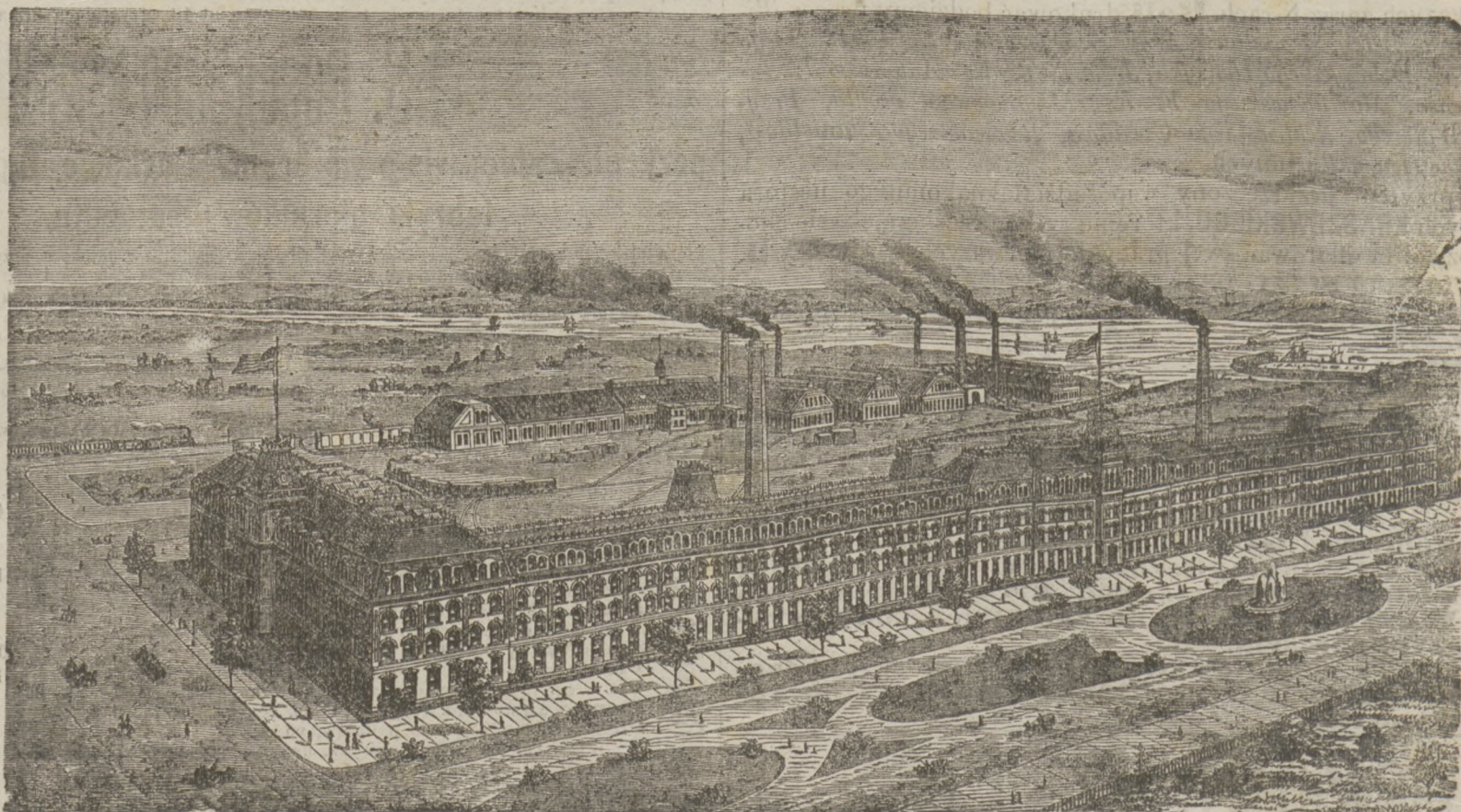
FABRYKA PIÓR STRUSICH I FANTAZYJNYCH

F. GLIWITZ,

Senatorska Nr 20, wprost kościoła Ś-go Antoniego,

zaopatrzyła się w wielki wybór najwykwintniejszych Nowości paryżskich, Garnitury balowe z piór i kwiatów. Nowe kolory, oryginalny układ i zestawienie, egretty nowego fasonu. Kwiaty Paryżskie prześliczne gustem i układem. Kapelusze z piór. Pióra strusie i fantazyjne, francuskie i własnego wykończenia we wszystkich kolorach. Ptaki; wszystko po cenach niepraktykowane niskich.—Pranie, Fryzowanie i Farba na sposób Paryżki.

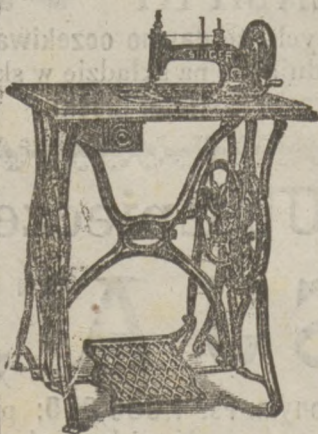
The Singer Manufacturing Company, New-York.



Najstarsza i największa fabryka maszyn do szycia w świecie.

SPRZEDAŁA 1878	SPRZEDAŁA 1879	SPRZEDAŁA 1880	SPRZEDAŁA 1881
356,432 Maszyn.	431,167 Maszyn.	538,609 Maszyn.	561,306 Maszyn.

Oryginalne Singera Maszyny do szycia



przewyższają niezrównanem wykonaniem i trwałością wszystkie inne systemy i imitacje, bo będąc z najlepszego materiału i przy pomocy najdoskonalszych maszyn wyrabiane, z nieporównaną akuracją są wykonane. Ażeby nabywanie tych tak dla użytku domowego jak i rękodzielniczego doskonałych maszyn każdemu ułatwić, sprzedaje się takowe bez podwyżki w cenie, za wypłatą po 1 rs. tygodniowo; również przyjmują się w rachunek wszystkie nieużyteczne maszyny wszelkich innych systemów. — Najzupełniejsza gwarancja; nauka bezpłatna.



JEDYNIE PRAWDZIWE,

jeżeli maszyny powyższym znakiem fabrycznym i na ramieniu złotym napisem firmy „The Singer Manufacturing Co.” są opatrzone.



JEDYNIE PRAWDZIWE,

jeżeli maszyny powyższym znakiem fabrycznym i na ramieniu złotym napisem firmy „The Singer Manufacturing Co.” są opatrzone.

Wierzbowa N. 4 C. NEIDLINGER, Długa N. 29.
Elektoralna Nr 5.

Główny Skład w Warszawie, posiada filje pod własną firmą:

w Lublinie, w Kaliszu, w Płocku, w Kielcach, w Łodzi, w Piotrkowie, w Radomiu.

Krak.-Przedm. № 176/7.

Rynek 17.

Grodzka 34/5/6.

Rynek 47.

Piotrkowska 502.

Ekaterynska 57.

Lubelska 57.

Sen nocy zimowej.

Rok nowy!

Szczęście Boże!

Przynieść Wam życzenia, któreby, jak Rok—nowe były—sililbym się napróżno; napróżd że sam jestem stary i pełen tej starzyny z którą się zrosło, powtóre że—pod słońcem nie nowego niema...

Są tylko, niestety—odnawiane rzeczy!

Więc, po dawnemu: Szczęście Boże! i jedno tylko odwieczne życzenie: Niech Bóg daje Wam—miłość! Gdy tę w sercu będziecie mieli, wszystko ona osłodzi, bóle uśmierzy, rozumu nauczy, z losami pogodzi, cierpienie znośnem uczyni.

Wszak ci u nas, od kilkuset lat przy każdej uroczystości powtarzało się to słowo mądrości narodowej—Kochajmy się!

Było ono hasłem naszym, a pod wesołym tym wykrzyknikiem kryło się najwyższe prawo i tajemnica największej potęgi.

Z „kochajmy się” uczynimy: kochajmy! Zapiszmy to godło na chorągwi, a pod niem: *In hoc signo vinces...* Krzyż jest też znamię największej miłości.

Z pogodą ducha, ze spokojem, zbrojni tem słowem jedynem, które wszystko w sobie mieści, idźmy dalej drogą naszą! Miłujmy przeszłość! Kochajmy braci, tych nawet co nie chcą być nami, a niech miłość nasza czynem będzie nie słowem.

Cóż życzyć więcej?

Miłość da mężstwo, da wytrwałość, da ducha ofiary, da nadzieję... i wiare.

Starym życzymy aby umysłem i duszą młodymi się być starali, młodym aby powagą i rozum starzych mieli, rodzinom aby świętym węzłom łączącym je rozrywać się nie dali, bogatym aby pamiętali o ubogich, ubogim aby nie zazdrościli bogatym, wszystkim stanom aby widziały w społecznej gromadce podział obowiązków i pracy a nie obozy przeciwników, wszystkim cierpiącym aby w boleści widzieli dzwignię do cnoty, szczęśliwym aby sami będąc nimi, drugich też pragnęli uczynić nimi...

Kochajmy się, kochajmy, a Bóg pobłogosławi!

Dosiego roku.

Dreżno.

J. I. Kraszewski.

CZWÓRKA.

(COŚ NAKSZTAŁT BAJKI.)

Baczny z każdej przygody nauki dopyta.

Wprężono czwórkę w ciężką, odwieczną landarę,

W lejc dwa ogniste żrebce, w dyszel siwki stare.

Jadą w górę. Lejcowe ruszyły z kopyta,

— Ej—zawołają rwąc w szalonym pędzie,—

Nuże galopem, naprzedz razem z nami!

— Góra... ostrożnie!

— Nie to: galop wszędzie,

Niech w podłym plugu robi ten bokami,

Kto przestrzeni nie pruje szybkim orla lotem!

Stare miłość i cięgną. Cóż się stało potem?

Kilkadziesiąt kroków dalej,

Do wierzchołka dojechali,

Przyszło na dół. Co u dżaska?

Nadto pędzi coś kolaskal

I to pędzi jak szalona.

Ktoś pecha z tyłu? Nie, to ona

Sama leci coraz hyżej,

A tu przepaść coraz bliżej!

Więc w bek żrebce.

— Zginąć trzeba,

Ratunku! o wielkie nieba!

Wtem sparły się dyszlowe, a choć niby stare

Silnym karkiem na miejscu wstrzymały landarę.

I wówczas dali żrebecom taką słuszną burę:

— Nie powstrzyma ten z góry, kto pędzi pod górę.

Wolno szłyśmy, pomimo wasze głośne krzyki,

Bo na karkach ciążyły grube naszeluiki,

Owe biedz przeszkadzały, a nie nogi stare,

One uratowały nas, was i landarę.

Skończyłem moją bajkę; jest to prawda naga,

Wóz naród, konie prasa, a uprząż — rozwaga.

Faustyn Bicz.

W koszarach wszyscy zaczęli się układać do spoczynku.

Na dworze ziemia i niebo odmrużywały sobie nawzajem z góry złotemi, z dołu srebrnemi gwiazdami; między niebem i ziemią wiatr mroźny poddmuchiwał przezroczyście w niebieskawej światłości księżycy skąpane obłoczki śniegowe, zawieszane w powietrzu niby rozsypującą się drogą mleczną.

Natura zdawała się poczuwać do obowiązków strzeżenia wyspy i brzegów Angary i miljonem iskrzących oczów szukać śladów jakiego podejrzanego życia.

Ale na wyspie i na wybrzeżach panowała cisza, nieprzerwana nawet oddalonym psa szczekaniem. W koszarach ślady ruchu, odgłosy życia słabnęły z każdą upływającą chwilą.

Smutek jakiś cięższy niż zwykle osiadał na czołach licznych tego domostwa lokatorów i z piersi częstsze wydobywał westchnienia.

Nie było wprawdzie ani chłodno, ani głodno—ale do domu daleko.

Mieli mieszkańcy koszar jeden sposób dostania się do domu, uściskania swoich.

Trzeba było spać się położyć.

Sen bywał często litościwym i na skrzydłach przenosił do rodzinnej ziemi, splatał rozerwane ramiona, zbliżał pierś do piersi, serce do serca, usta do ust—a było w tem coś tak rozkosznego, że nawet przebudzenie, twarde, bezwzględne, brutalne nie wydawało się tak bolesnem jak wtedy, gdy śpiącego ta podróż ominęła.

Byli tacy co tą drogą co noc kraj swój odwiedzali. Kto nie spał, ten mógł to odgadnąć, kiedy wśród ciemności z jednego kąta odzywał się okrzyk radośny, z drugiego łkanie, z innego szepc cichy, echo jakiejś z ukochanymi rozmowy.

Tego wieczoru, jak mówiłem, smutniej było i ciszej niż zwyczajnie.

Większość mieszkańców koszar leżała już w łóżkach—tu i owdzie palily się świece na białych nie pobejcowanych szafkach i szeleściły kartki książek.

W jednym kącie sali starzec z brodą po pas zszywał jakieś rzemyki, przekłuwiał sztydłem, przyklepywał motkłem. Poczciwiec służył kiedyś przy kolei, wszystko umiał i pasję miał reperować kolegom zepsute rupiecie.

Gdzieindziej suchy, zawiedły ksiądz z obliczem niezmąconej dobroci klęcząc gorącą odmawiał modlitwę; gdzieindziej znów pióro skrzypiało po papierze, a wyprzedzała je myśl o całym miesiącu czasu; jeszcze gdzieindziej leżał ktoś na wznak i dawał wypoczynek wyciągniętym kościom, rozbołałym po ciężkiej dzisiejszej pracy (odbijanie młotem osadu kamiennego, tworzącego się na ścianach kotła w warzelni soli).

Nagle wśród tego ołowianego milczenia ozwał się głos młody, dzwiczny, prawie wesoły.

— A wiecie też, że to dziś koniec starego roku?

— Nie wiedzieć co — odpowiedział drugi głos, silnie przeciągając sylaby. — Taże to dziś 19-go decembra.

— Podług europejskiego kalendarza 31-go grudnia, ale wy zawsze o 12 dni ze wszystkim spóźniać się musicie.

— A! gdybyście się wy nie zawsze śpieszyli, możeby to i lepiej było—a taki jak trzeba, to was doganiamy.

— Prawda, prawda kochany księżu dziekanie... nie gniewajcie się i kiedyśmy się zgodzili w jednym dniu opłatkiem łamać...

— Na waszą kutię.

— Na naszą... na naszą, przyznaję — więc kiedyśmy się zgodzili... to zróbmy co razem na koniec roku.

— Dobrze, ale co?...

— Rozumie się bal sylwestrowski... resursę już mamy...

— O! zaraz widać koroniasza — była odpowiedź — o blażenstwach tylko myśl.

— Panowie! — krzyknął inicjator, nie zważając na to nieparlamentarne spostrzeżenie — bal sylwestrowski... ja się zajmę tańcami — kto pomyśli o przyjęciu?

— Ja zrobię rusińskie kluski z maki hreczanej z serem.

— A niechby też kto przyrządził krupnik litewski...

— Kiedym miał swoją aptekę — ozwał się nowy głos — fabrykowałem wyborze wódki — ale krupnik...

— Jancio zrobi krupnik — przerwał pierwszy projektodawca.

— Ależ...

— Jancio zrobi krupnik... — powtórzył znów decydująco ten sam głos młody.

— Zrobię, jenerale...

— Zupełnie jak w „Damach i huzarach” — zauważył ktoś z pod koldry.

— Kto mówi o „Damach i huzarach”? — spytał milczący dotąd interlokutor i oczy mu się zaświeciły. — Jaki pyszny bumor w tej komedji... a jak grana była... Pamiętam Panczykowski...

— Oho! zginęliśmy! Władysław zaczął o teatrze... nie go już nie powstrzyma... Oto wiesz co, lepiej wstan, siadź do fortepianu i nie daj zasnąć nikomu, dopóki balu ze starostą nie otworzę!

Poskromiony teatral wstał nie nie mówiąc, zarzucił coś na siebie i uderzył kilka akordów na instrumencie, któremu podobny egzemplarz można zobaczyć chyba już tylko w muzeum Krausa we Florencji. Te akordy brzmiały tak, że nieboszczyk Couperin musiał się w grobie na znajome sobie dźwięki poruszyć; ale snąc było w nich coś imponującego, skoro staruszek odłożył na bok rzemyki, chudy ksiądz podniósł się od modlitwy, czytający zamknęli książki, korespondent przerwał list, a spracowany w ciężkich robotach podniósł się na pościeli.

Jakiś czas nie było słychać prócz tej muzyki, aż niespodzianie zakrzyknięto z głębi sali: poloneza!

I tuż za krzykiem ukazała się pierwsza para: młody, którego nazywano jeneralem, prowadził starostę, to jest reprezentanta wobec komendantury interesów koszarowej gromady.

Kostjomy były okolicznościowe — odziewano się tem co leżało pod ręką — młody nie rozbierał się był wcale, więc miał na sobie świtkę do figury z szarego sukna, takie same spodnie w buty. Starosta zarzucił na bieliznę burą sukmanę i z powagą kroczył, towarzysza jako damę prowadząc.

Ta pierwsza para zabierała po drodze z łóżek coraz nowych tancerzy... Każdy rad nie rad wstawał, zarzucał na siebie było co, chwytął parę i stawał w szeregu do rytmu wspaniałego poloneza Szopena.

Ksiądz dziekan, który był niedawno głośno protestował przeciw letkiewiczowstwu koroniasza, zawiał szlafrok na okrągłym stuszku, poślknął kubek podanego mu napoju, splunął, skrzywił się niechętnie i machnąwszy ręką:

— Nie wiedzieć co! — odrzekł — to ma być litewski krupnik — jakieś aptekarskie paskudztwo!

I obtarłszy usta dłonią zawołał na sąsiada:

— A no, doktorze z Messyny, niema co, chodź serce, musi być wlaźszy między wrony, trzeba krakać jak i one.

Zainterpelowany w ten sposób towarzyszył dziekan, odłożywszy na bok jakieś medyczne dzieło, odłonił twarz młodą jeszcze, dziwnie pogodną, rozumną, rozjaśnioną łagodnemi, inteligentnemi oczyma. Była to rzeczywista znakomiteść w świecie lekarskim, równie skromna jak rozgłośna.

Doktor z Messyny, tak go nazywano od piosneczki, którą pociesznie śpiewał, nie miał wielkiej ochoty rozłączać się z ciepłą pościelą, ale spostrzegłszy dziekana, z uśmiechem wesała podkręcającego wyskoczył na równe nogi, burkę na plecach zawiesił, pysznym ruchem rękawy jak wyloty w tył zarzucił i zakonkludował, rękę szlafkamratowi podając:

— Najgorsze jest to przejście od galopa do klusa!

Był to ulubiony aforyzm doktora, sens moralny jakiejs zabawnej anegdotki, którą każdy łatwo zapomniał, zatrzymując tylko w pamięci to jej zakończenie, używane w całych koszarach, jako ostateczne rozwiązanie wszelkich zagadnień społecznych, politycznych i filozoficznych.

Kiedy w ten sposób zamykał się łańcuch poloneza, pierwsza para dotarła do kąta sali, gdzie między kilku innymi współlokatorami siedziało na łóżku dziwne indywiduum.

Zwano go panem Narcyzem...

Był to człowiek lat trzydziestu, twarzy pełnej, rumianej, jakby obrzęklej, uśmiechniętej zagadkowo, okolonej bujną blond czupryną. Jasno niebieskie oczy spoglądały tak niepewnie, że zdawały się raczej w głąb patrzącego aniżeli przed siebie spojrzeć. Cała figura pana Narcyza wszczepiona rozróżniona świadczyła o bujnym życiu roślinnem, rozwijającym się kosztem duchowego.

Istotnie pan Narcyz miał pomieszczone zmysły...

Dość było spojrzeć na biedaka, dość było mieć samemu trochę zdrowego sensu w głowie, a co ważniejsza trochę zdrowego serca w piersiach, ażeby się przekonać, że się ma warjata przed sobą.

Pomieszczenie pana Narcyza obracało się około trzech *idées fixes*; pierwszą było zapieranie się własnego nazwiska i pochodzenia i podawanie się za syna Napoleona III-go i cesarzowej meksykańskiej; druga polegała na silnem przekonaniu, że pana Narcyza przysłano na miejsce to dla objęcia dowództwa nad niewidzialnemi wojskami; pod wpływem trzeciej nieodstępnej myśli, obłąkany telegrafował nieustannie o wiadomości do domu —

a telegrafowanie odbywało się bardzo prostym sposobem—p. Narcez drapał lekko paznokciem w spód stołowego blatu i przykładając następnie ucho do tego samego miejsca, nasłuchując co mu przyniesie fantastyczna depesza...

Bóg wie jakie tam pocieszające wiadomości płynęły do ucha p. Narceza po tych sympatycznych nieciach, łączących myśl jego z miejscami, do których ją posyłał; dość że po takim telegrafowaniu był zawsze uśmiechnięty i pogodny...

Za to każdy ruch niezwykle, bądź w naturze, bądź między ludźmi, wprawiał go w niepokój; na odgłos grzmotów, na widok błyskawic w spokojnym synu Napoleona III-go i cesarzowej meksykańskiej budził się wódz niewidzialnych hufców, biegając, rozkazywał pory, póki pogoda albo ludzie do porządku nie wrócili...

I teraz spostrzegłszy długą, wstęgę ruchomą, rozwijającą się w licznych zakrętach między drewnianymi filarami koszar, wstał, wyprężył się, ścisnął w zębach krótką lulkę, w której skwierczały resztki mahorki i cienką linijką dawał w prawo, w lewo znaki dla siebie tylko zrozumiałe.

Dziwny i przejmujący był widok tego tańca...

Dychawiczny szpinet dobywał reszty głosu, ażeby siłą sprostać powadze tego pochodu; pary szły za parami w milczeniu, które tylko od czasu do czasu przerywała donośna, krótka, sucha komenda pana Narceza.

Było coś szekspirowskiego i w tym polonezie i w tym spokojnie tragicznym warjacie.

— Panowie północ! — zawołał ktoś z tańczących—godzina duchów i początek nowego roku...

Rzeczywiście zjawił się duch, nie powiem zły, nie powiem dobry, ale w tej chwili bardzo niepotrzebny, bardzo uprzykrzony.

Zjawił się komendant.

Zwał się... mniejsza o to jak, pochodził z ludu, chuderlawy był, średniego wzrostu, obciśle ubrany, do dam robił słodkie oczy, grał na harmonijce, miał słabość do hrabiów i do soli, z którą manipulacje w warzelnii nie wyszły mu potem na dobre.

Porucznik wszedł niepostrzeżony, stanął w cieniu pod filarem, przypatrywał się polonezowi i dopiero na wołanie „godzina duchów” wystąpił na światło, obiecując sobie zapewne sprawić samem ukazaniem się efekt teatralny.

Efekt chybił, a zmiana nastroju w tańczących inny miała powód.

Ten, którego zwano Władysławem i który wydobywał ze szpinetu pełne animuszu melodie poloneza A-dur Szopena, zmienił tonację usłyszawszy o początku nowego roku i rozpoczął posępny temat poloneza C-mol.

Zakończenie tańca podobne było do pochodu pogrzebowego; łańcuch rozrywał się w różnych miejscach, pojedyncze ogniwa rozpryskiwały się tu i owdzie—nad wszystkimi zawisła ciężka chmura smutku.

Tymczasem komendant, stojąc obok pana Narceza, śledził oczami ten powrót oficjalnego spokoju i rzekł do siebie dość głośno, ruszając ramionami.

— Doprawdy, oni wszyscy warjaci!

Usłyszawszy to, pan Narcez spojrział na porucznika wzrokiem, w którym było dziwne jakiejś nieświadomej ironji, tyle bezwiednego dojmującego szyderstwa; uśmiechnął się z pod wąsa jednym tylko końcem ust (bo w drugim wisiała nieodłączna lulka) z taką zagadkową, tajemniczą wyższością, że dziś, po wielu latach, kiedy pozacierają się w pamięci szczegóły tego obrazu, kiedy zlagodniały linie, kiedy przyblakł koloryt a fizjognomje straciły swoją wyrazistość — dziś wreszcie, kiedy chwila ta dla wielu pozostała tylko w życiu snem nocny zimowej — dziś jeszcze ochota bierze zadać sobie pytanie: kto był większym warjatem, czy p. Narcez, który ze swoją manją komenderowania niewidzialnym wojskiem uznany był urzędownie za zdrowego, czy też pan porucznik, który między 12-tą a 1-szą kończącego się roku całemu społeczeństwu zdrowych zmysłów odmówił?

Władysław Bogustawski.

PRELUDJUM.

Słucham — słyszę... rozśpiewana
Jakaś dziwna pieśń dokoła
Pieści ucho, nęci, wota...
Obudziła mnie dziś zrana
I pobiegła w dal po rosie
Łąk kwiecistych w rozszemrany gaj.
Tam została w ptasząt głosie,
W drzew szeleście, w szmerach rzeki,
A w mej duszy, ach! — na wieki...

Takim pięknym nie był nigdy maj!

Otworzyłem okno... Słońca!

Słońca! blasków, światła wszędzie!

Długo trwała noc bez końca,

Niech raz przecie jasno będzie!

Zakurzonych książek grzbiety

Smutno na mnie patrzają ze ścian;

Przebiegli po nich szmer ponury:

„To nie słońce błysło z góry,

Błysnął uśmiech gdzieś kobiety

I do serca wpadł poeta

Spragnionego szalu, lez i ran!”

Już firanek muślin wzdyma

Powiew lekki — drażni, pieści...

Ej! nie wróci chyba zima,

Zaginęły o niej wieści.

Słońca chyba już nie załmi

Zawierucha żadna ani mgła —

Mnie też wolno zasiąść z braćmi

Tu do uczty z czarą w dłoni,

Nikt mnie pić z niej nie zabroni!

Zkąd to życie tyle czaru ma?

Zkąd w mem sercu jeszcze tyle

Uczuć pragnień i pogody?

Nie zatary zwątpień chwile

Wiary w szczęście duszy młodej.

Cieszy mądrość, wielka w pysze,

Nie nagradza jednak lez i strat —

Ziemia kwiatów wonią dysze

I w pożarze słońca płonie,

Wkrąg rozbrzmiewa ton po tonie

Wszechpotężnej, wiecznej pieśni,

Głos jej słyszę: Zbudź się, wskrzesz się!

Takim pięknym nie był nigdy świat!

Czesław.

Kasy rzemieślnicze.

Rok temu na tem to miejscu zwracałem uwagę twoją szanowny czytelniku na tę samą instytucję, której istotny rozwój i rzetelną działalność chciałbym ci obecnie przedstawić.

Kasy rzemieślnicze powstały z ofiarności całego społeczeństwa naszego, jedni tysiące, drudzy grosze składali na ołtarzu przysługi obywatelskiej względem potrzebujących współbraci, i dzięki tym datkom, dzięki szlachetnemu poczuciu bratniej spójni, ośm kas spełnia w tej chwili istotne dzieło zdrowej pomocy...

„Kto robotnikowi i rzemieślnikowi radzi w czym innem szukać ratunku przeciwko nędzy, jak w oszczędności i samopomocy, największą wyrządza mu krzywdę” — powiedział w swoim czasie bardzo słusznie Franklina. Z tej też wychodząc zasady, istniejące u nas kasy znalazły z samego początku dość licznych przeciwników, którzy, stając na gruncie praw ekonomicznych, wróżyli im krótką i chorobliwą przyszłość. Zapewne tak rozumując, przeciwnicy kas mieli zupełną słuszość i na gruncie teorii nikt obrony kas podjąćby nie mógł. Jednakże ze względu na stosunki miejscowe, kwestja przedstawiała się w zupełnie innem świetle, chodziło bowiem o to, czy uciśnionemu lichwiarzowi rzemieślnikowi należy przyjąć z pomocą, która by go nie demoralizując z jednej strony, wykluczając tak niebezpieczną i hańbiącą dla człowieka, pewnego poczucia godności i zdrowego na ciele, jałmużnę, powoli z niedoli dźwigała, czy też zostawić go na pastwę nędzy i niebezpieczeństw tych strasznych pokuszeń, które są jej nierozłącznymi towarzyszkami. Kwestja samopomocy jest u nas węzłem gordyjskim, którego dotąd nikomu rozciąć się nie udało.

Dwanaście lat już mija, jak jeden ze znanych z czynów obywatelskich przemysłowiec warszawski rozpoczął w tym kierunku energicznej wytrwałej starania. Od tej chwili znalazło się w ciągu tego czasu kilku szlachetnych naśladowców, którzy nie szczędzili ni trudu, ni czasu, używali wszystkich środków, aby wreszcie wyjednać rzemieślnikowi naszemu tak zbawienne i niezbędne instytucje, jak są kasy wkładowo-zaliczkowe. Daremnie jednak, prócz szeregu dobrych chęci i zacnych usiłowań, żadnym pomyślnym rezultatem poszczycić się dotąd nie mogli, wszystko rozbijało się o trudności usuwające wszelką nadzieję pożądanego skutku, nie tylko w chwili obecnej, ale nawet w dosyć odległej przyszłości. W takich warunkach, wyczerpujące rozprawy o samopomocy, długie artykuły o niewypowiedzianym pożytku i niesłychanym rozwoju kas wkładowo-zaliczkowych w Cesarstwie i za granicą zeszyły do rzędu ponętnych teorii, gorących pragnień, które dla przyczyn od nas niezależnych w wykonanie wejść nie mogły, i niestety zapewne tak prędko nie wejdą. Nędza jednak wzrastała z dniem każdym, lichwa rozwielmożniała się coraz więcej, a tem samem ratunek stawał się coraz nie zbędniejszym. Ogół to rozumiał i dzięki prakty-

cznemu zmysłowi naszego społeczeństwa, na wezwanie troskliwego o los pracujących braci Boleśława Prusa, posypały się, ku zgorszeniu tych zwolenników niewzruszalności teorii ekonomicznych, hojne datki, którym istniejące dzisiaj kasy rzemieślnicze powstanie swoje zawdzięczają.

Obecnie, gdy nas oddziela 16-cie miesięcy od chwili otwarcia pierwszej kasy w cyrkule I/XI, gdy w tym czasie 7 nowych weszło w życie, a miejmy nadzieję, iż pozostające jeszcze cztery znajdą niezadługo szlachetnych założycieli, słuszną zapewne nagrodą obywatelskiej ofiarności będzie przyjęcie do wiadomości wielu pocieszających rezultatów i szczegółów.

Suma ogólnego majątku, jakim w chwili obecnej rozporządzają kasy, wynosi niespełna 42,000 rs. Niewątpliwie jako rezultat ofiarności, jest ona ze wszech miar zdumiewającej wysokości, ze względu jednak na zapotrzebowania, dosyć wspomnieć, że liczba rzemieślników naszego miasta, a zatem tych, którzy mają prawo korzystania z dobrodziejstwa kas rzemieślniczych, wynosi przeszło 40,000. W tych dwóch cyfrach zdaje się znaleźć każdy odpowiedź, czy kwestję kas rzemieślniczych można uważać za zamkniętą i czy wolno odzywać się do poczęcia obywatelskiego i ofiarności ogółu w dalszym ciągu. Proponowane z różnych stron powiększenie funduszu kas przez wkładanie pewnych kwot na umiarkowany procent przyjęte żadną miarą być nie mogły, najpierw dlatego, że kasy nie stanowią osoby prawnej, a tem samem żadnych zobowiązań zaciągać nie są w możności, a także, ponieważ ustawa warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, przy którym kasy istnieją, środek ten stanowczo i wyraźnie wyklucza. Tak więc, jak źródłem powstania kas była ofiarność publiczna, tak i w przyszłości szybkie powiększenie kapitału obrotowego ztąd tylko płynąć może.

Niezależnie od tego jednak, dzięki roztropnemu, ostrożnemu i energicznemu zarządowi kas, należy się corocznie pewnego przyrostu kapitału spodziewać, i tak np. w najdawniej istniejących połączonych kasach cyrkulu I/XI i II/III, czysty zysk z 16-tu miesięcy wynosi rs. 760. Podobnie i inne kasy wykazały z końcem bieżącego roku mniejszą lub większą przewyżkę zysków. Najuboższą pod tym względem jest kasa cyrkulu V/VI, której czysty zysk nie przeniesie rs. 200, a to dlatego, iż gdy inne zostały ze sobą połączone, ta oczekuje dotąd na fundusz potrzebny do założenia kasy w cyrkule IV-ym, istnieje dotąd samoistnie i ztąd wydatki administracyjne, rozdzielone gdzieindziej na dwie kasy, ona musi ponosić sama. Niewątpliwie, iż przy tak niewielkim przyroście fundusz zakładowy każdej kasy, wynoszący jak wiadomo 5,000 rs., powiększać się będzie nader powoli, wszakże już sam fakt powiększania się, choćby drobnego, przekonać winien, iż przypuszczenia pesymistów o zmniejszeniu się corocznem kapitału zakładowego niema podstawy.

Najwięcej interesu budzi zapewne wypłacalność dłużników, wszak na niej po części spoczywa egzystencja każdej instytucji finansowej, choćby największej, a cóż dopiero mówić o tak ubożachnej w środki jak kasy rzemieślnicze.

Otóż i pod tym względem dotychczasowa praktyka kas prawdziwie pocieszające przedstawia rezultaty. Ogólna liczba dłużników wynosi w chwili obecnej 2,430, składających się z rzemieślników i robotników wszystkich fachów i zajęć. Najlichniej wszakże są reprezentowani szewcy, krawcy, ślusarze i szwaczki. Należy także uwzględnić, że pożyczki dane bywają w wypadkach nadzwyczajnych, jak np. choroby, śmierci, na potrzeby domowe, a w rzadkich razach na powiększenie środków zarobkowania. Otóż dla tych to przyczyn rokowano kasom krótkie istnienie i wychodząc z zasady chwiejności kredytu konsumcyjnego wrócono, że ilość spraw będzie niesłychanie wielką, lub, że wypożyczone pieniądze więcej do kasy nie wrócą. Doświadczenie przekonało jednak wprost przeciwnie, w ciągu bowiem 16-tu miesięcy istnienia kas w 76 tylko wypadkach pozwano dłużników na drogę sądową, a rubryka pochodzących ztąd strat dotąd jeszcze ani jednego grosza nie zawiera... 76 zatem procesów wobec 2,430 dłużników, nie powinno zatrząść, przeciwnie dowodzi, iż w rzemieślniku naszym, pomimo najopłakaniejszych stosunków materialnych, pomimo demoralizacji kredytowej spowodowanej przez lichwę, jest jednak poczucie zaciągniętego obowiązku.

Wypełnienie włożonego obowiązku ułatwia niezmierznie możność płacenia zaciągniętego długu drobnymi tygodniowymi ratami. Jest to istotne dobrodziejstwo, z którego też dłużnicy chętnie korzystają, na dowód czego niech posłużą następujące cyfry: w cyrkule I/XI zwrócono dotąd 7,543 rs. 70 kop. w 6,360 ratach czyli, że wysokość spłaconej raty wynosiła przeciętnie około rs. 1 kop. 18. Również

1 w kasie cyrkułu II/III spłacono rs. 5,431 kop. 53 w 4,197 ratach. Spłaty tego rodzaju są dla zarządu nader mozolne, jednakże słusznie twierdzić należy, iż im to przedewszystkiem zawdzięcza się tak pomyślny rezultat co do zwrotu pożyczek.

Najsmutniejszą stroną działalności kas rzemieślniczych jest niewątpliwie ograniczony i szczupły kapitał zakładowy. Odmowa w każdym położeniu jest przykra, a co dopiero, gdy proszący ma za sobą potrzebę istotną lub co najczęściej się zdarza grożącą ruiną. Tu krawcowi zabrakło maszyny, za którą kilka rat z powodu chwilowego braku roboty spłacić nie mógł, tam skutkiem choroby ojca zszedł komornik, by za zalegającą opłatą wyrzucić całą rodzinę na bruk i pozbawić resztek nędznego dobytku, ówdzie biedna szwaczka straciła ojca, któremu niema za co kupić trumny, — oto są bóle i łzy, z którymi zarządy kas codziennie się spotykają, mając na nie jedną odpowiedź: „niema pieniędzy”... Cyrkuly I/XI, V/VI, VIII i IX zaledwie 1/10 podań o pożyczkę przyjąć mogą, reszta opuszcza kasę ze smutkiem i żalem i z tem smutnem zapewnieniem, że „niema pieniędzy”...

Godzina przepędzona w takiej kasie, zdaniem mojem, byłaby w stanie najzatatwardzalszego skruszyć skapca...

Widzieć grożącą niechybną nędzę, której nie ofiarą, nie datkiem żebraczym, ale pożyczką zapobiedz można, patrzeć jak setki zdrowych i silnych członków społeczeństwa wpada w szpony tej strasznej hydry, jaką jest lichwa, która niewolniczym łańcuchem zależności przykuwa do siebie najczęściej na całe życie rzemieślnika, wiedzieć, iż nie próżniactwo ni naióg, ale owa czarna godzina, ów grom niespodzianej choroby, śmierci lub braku roboty zdruzgotać może cały byt rodziny rzemieślniczej i nie być w możności dopomożenia, to doprawdy więcej jak bolesne...

„Oszczędności, oszczędności,” wołają inni teoretycy — ach doprawdy to zupełnie to samo, co umierającemu z głodu powtarzać „pieczeni! pieczeni! a nie umrzesz.”

Kto jakbądź wtajemniczony jest w warunki bytu naszych rzemieślników, ten przyzna, że tylko dla wyjątków wyrzut ten nie jest ironją i szyderstwem. Gdzież pytam uczono rzemieślnika owej oszczędności, gdzież widział te przykłady; jego mentorem był lichwiarz, kasą zaliczkową sklepik otwierający mu przy podwójnej cenie kredyt na sól, węzelek drzewa lub bulkę chleba. Dzisiaj jedynie kasy choć w części nauczycielstwo spełniać mogą. W nich po raz pierwszy przekonał się on, że kwota, która uchroniła go od głodowej śmierci w chwilach bezrobocia, lub zabezpieczyła od długoletniej nędzy, składała się z pojedynczych złotych, które w formie rat kasie wypłacał, że te same złówki składane do skrzynki mogą mu w przyszłości stać się deską ratunku. Pod tym też względem kasy oddają stanowi rzemieślniczemu wielką usługę i oddawać je będą zawsze.

Niechże więc los kas i rozwój ich nie przestanie nigdy interesować naszego społeczeństwa, które w miłości bratniej i łączności wszystkich swoich warstw czerpie swoje życie i siłę.

Ks. Z. Chelmiński.

D A N A E.

Pasterko piękna! nadstaw rączek w oknie,
Lub stań z fartuszkim na dworze —
Deszcz złoty pada — kto od niego zmoknie,
Żałować tego nie może.

Jowisz, Bóg groźny, ni już grzmi, ni tętni,
Lecz mu się padać zachciało...
Moknie dziewczyna, chętnie, jaknajchętniej —
Pewnie urosnie niemało.

Deszcz się jej uszu kołczykami chwyci,
W pierścionki palce obwije,
Ramiona w spinki, w pas ją u kibici,
W łańcuszki obłęgi jej szyję.

Spłonęła różą, w białe rączki pleszcze,
I tańczy sobie szalona:
— Gdybyż to potop! gdybyż wiecznie deszcze,
Jak niegdyś za Deukaliona!

Złości się Juno. Gdzieś się Jowisz srogi
Rozplywa czule — a do niej
Przychodzi chmurny, i z orlem u nogi,
I z gromem mruklwym w dłoni.

Sle Irys, zgięta w siedmiobarwne sploty,
Która deszcz wszelki zwycięża:
— Dziewczę niech zaraz deszcz mi odda złoty —
Albo niech odda mi męża! —

— Chętnie — odpowie zmoknięte niepotem —
Lecz cóż, gdy niema sposobu:
Nie wiem już który Bogiem, który Złotem —
Więc muszę zatrzymać obu...
Felicjan.

Z borów litewskich.

Mingliśmy licha miejscinę, wewnątrz pełną gnojowisk i karczem (w których szynkarze sprzedają wyrabiany przez siebie różowej barwy *harambasz*, ponieważ lud zapisany do wstrzemięźliwości, wódki tu nie pije) — zewnątrz strzeżoną przez dwa cmentarze, kilka wiatraków i jakiś stary, murywany słup graniczny.

Dalej przejechaliśmy porządniejszą od miasteczka wioskę, niby przedmieście.

— Za wioską było pole, a później powiodła nas droga za piękny bór sosnowy.

— Czy to las? — zapytałem naszego woźnicę.

— To nie las proszę pana, to bór skarbowy...

W istocie miał słusność, bo las iglasty zowie się borem, a liściasty lasem; tu zaś szumiały stare sosny i świerki, podszyte leszczyną i wrzosem.

Gdyśmy minęli jakąś porządnie zabudowaną osadę, a zgraja zajadłych psów przeprowadzała nas daleko, woźnica mówił dalej:

— Tu mieszka nadleśny skarbowego boru, ma się bardzo dobrze, tylko że pije. A tam hen, jak ta w boru polana przez którą pojedziemy, to „kozi rynek”. Nazywa się tak dlatego, że tędy kozy (sarny) często przechodzą.

Od polany ciągnęły się knieje świerkowe i olszowe, ciemne jak noc, zapadłe, kępami bujnego mehu wysłane — ulubione siedliska saren; jechaliśmy teraz knieją dziką, bagnistą, milejącą.

— Tędy chyba nikt nie jeździ — rzekłem do naszego woźnicę.

— Dlaczego niema jeździć, proszę pana, kiedy tędy główny trakt koniokradów. W dzień to prawda, że nikogo nie widać, ale w nocy ruch tu panuje często jak na kermaszu, bo oto za tamtem bagem zaczynają się pastwiska koni ukradzionych. Czasem jest ich tam sto, czasem trzysta. Przed laty ośmiu, to policja znalazła tu koni dwieście. Tutaj bowiem przyprowadzają konie ukradzione o mil kilkanaście i dalej, bo w naszym miasteczku prowadzi wielki handel temi końmi. Dużo idzie do Prus, gdyż tam odszukać konia trudno, bo złodziej przekrada się bez paszportu lub ma paszport, a ten co goni, niema. Często zdarza się, że poszkodowany zgłosi się do kupców w miasteczku, którzy mają proszę pana, zapisanego w księżec każdego konia: kiedy był ukradziony, gdzie, jakiej maści, ile wart. Tu potargują się z sobą i jeżeli koń jeszcze tu jest, oddadzą gdy poszkodowany zapłaci, co się zgodził.

Zostawiliśmy na lewo owe trzęsawiska i knieje, jechaliśmy dalej i dalej lasem, to znowu pięknym sosnowym borem. Nareszcie wyprowadziła nas leśna droga do dobrze zabudowanej leśniczówki z gankiem i ogródkami. W ganku, ze strzelbą na ramieniu, stał młody, bujnego wzrostu chudy ale przystojny mężczyzna.

— A tu czy także mieszka leśnik skarbowy — zapytałem mijając leśniczówkę.

— Tak panie — odrzekł woźnica, kiwnął głową i westchnął, ale westchnął tak jakoś boleśnie i głęboko, że odgadłem w jego westchnieniu tajemnicę i zażądałem objaśnienia...

Poczuwając obejrzał się dokoła kilkakrotnie, a przekonawszy się, że oprócz mnie i sosen, nikt go nie podsłuchuje, stłumionym począł mówić głosem.

— Tu panie mieszkał dawniej leśnik skarbowy, człowiek poczciwy i pobożny. Miał żonę i jedną tylko córkę, którą kochał okrutnie, bo dziewczyna była dobra, pracowita i gładka, a w bojaźni bożej jak oczko w głowie uchowana. Na dziewczynę ostrzył zęby nie jeden, bo ojciec miał sześć krów mlecznych i cielęta i parę dobrych koni, a co najważniejsza, że zięć dostałby po teściu osadę i został tu leśnikiem. Zalecał się tedy do nich syn gospodarza z owej wioski pod miasteczkiem, młody i tegi chłop, ale jakoś ani dziewczyna, ani starzy, nie byli radzi jego swatom... Ojciec odrazu mu powiedział, że córki swojej nie wyda. A miał przyczynę potemu, bo sam był poczciwy z kośćciami i nabożny; o młodym zaś szepłano, że ojciec jego z tego bogaty, iż po nocach szkapę kradzione przeprowadza i na pastwisku dozoruje. Nazajutrz po niendanych swatach zrobił się w domu starego leśnika wielki płacz i straszny lament, bo znaleziono w lesie najpiękniejsze krowy poprzebijane nożem śmiertelnie. „A co nie mówilem — rzekł stary — że niedaleko pada jabłko od jabłoni, a sowa nie urodzi sokoła”. Spodziewano się jeszcze innej zemsty, więc leśnik po nocach nie sypiał i na każde

szczekanie psów wybiegał, czy się kto nie podkra-
da do strzechy z zapalką. Ale minęło jakoś kilka
niedziel spokojnie. Gdy oto pewnego ranku poja-
wił się nieproszony gość raz jeszcze, lecz jak zwy-
kle, z dziewczką nie nie gadał, tylko na ojca nale-
gał, i jakby półgębkiem straszyl, że pożałujecie.
Leśnik tembardziej powiedział mu, że z tego nie nie
będzie, a on wziął czapkę i wyszedł do sieni, gdzie
stała kłoda z wodą studzienną, a później w las.
W kilka godzin potem, w strasznych boleściach
wil się na łożu śmiertelnem i przyciskając córkę
do swej piersi skonał ojciec, a zaraz po nim matka.
Okrutnie było im ciężko umierać, bo i bez księdza i
patrzac na najmilszą dziewczynę, która zostawała
sierotą, sama jedna w odludnym lesie i popaść mo-
gła w ręce ich zabójcy. Nazajutrz chata była pu-
sta, sierota poszła w świat, do ludzi... A że bez le-
śnika las skarbowy być nie może, więc po zmarłym
naznaczono innego, tego właśnie i stąd go i przystoj-
nego mężczyznę, który ze strzelbą na ramieniu stał
w ganku, gdyśmy przejeżdżali koło leśniczówki.
Żądze jego spełniły się, bo chciał posiadać to miej-
sce i posiadł. Rzecz jednak dziwna, bo na tłustym
kawałku chleba począł mizernieć i chudnąć, a lu-
dzie, którzy tu rzadko zachodzą, powiadają, że ja-
kiś obłęd ma w myśli i coraz do trupa podobniejszy.
Na tem skończył swoje ciche i ostrożne opowia-
danie nasz woźnica.

Z. Gloger.

RONDO SCHERZOSO.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem...

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufaly,
Nazywam go: „jegomość”,
On do mnie mówi: „maly”.

— „Jegomość taki bładny”, —
Mówię mu, — „wielka szkoda;
„Czy to tak z niewyspania,
„Czy taka już uroda?...”

— „Mój maly” — rzecze do mnie, —
„To, widzisz — z innej racji;
„Patrzac na świat wasz w dole,
„Pobladłem z irytacji.

„Gdybym się nie odwracał —
„I wrażeń nie odmieniał,
„Bylbym już miał złotaczkę,
„Lub dawno pozieleniał...”

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!...

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica, —
Lecz co?... z kąd ja mam wiedzieć!
Spytajcie się księżycu.

Marjan Gawalewicz.

Jedna chwila z podróży.

W ostatniej wędrówce mojej po mało uczęszczanych
drogach dziewiątego sierpnia 1882-go roku znalazłem
się w miasteczku sławońskim Winkowcach...

Ciekawy czytelniku, nie kuś się szukać owego mia-
steczka w bylejakim atlasie. Ręczę także, iż nie za-
trzymałbyś się w niem po drodze, chyba nagle jaka
srogość żywiołów, naprzykład powódź, wszelkie ko-
munikacje przerwała. Mnie, tak jak do niejednego mia-
steczka, pociągnęła ciekawość, jak też żyją ludzie na
partykularzach, gdzieś daleko od brzegów Wisły i War-
ty; czy umieją na małym zakresie wytworzyć żywot,
który mógłby nazywać się godnym człowieka XIX-go
wieku.

Niech mi przebaczą wszelkie miasta nasze gubernjal-
ne, powiatowe, miasteczka bez tytułów, ale mnie osobi-
ście dręczy bez ustanku myśl, że nasze partykularze,
mówiąc łagodnie, leniwo podążają za postępem cywiliza-
cji, iż żywot ich podobniejszy jest raczej do marnej
vegetacji, aniżeli do życia najdoskonalszej z istot orga-
nicznych.

W Winkowcach przesiedzialem dobę całą i nie żalu-
ję tego. Między innemi, odwiedziłem pomnik grobowy,
który na ementarzu miejscowym chorwaci postawili byli
jednemu z najzaciejszych synów małej swej ojczyzny.
Skromny obelisk marmurowy ma u spodu w płaskorze-
źbie medaljon mężczyzny w trójkątnym kapeluszu
z kokardą, w mundurze c.-k. kapitana, Mateusza Anto-
niego Relkowicza...

NASZA LAMPA.

Był to syn niw sławońskich, urodzony w przeszłym wieku; na kilkadziesiąt lat przed jego przyjściem na świat skończyła się była turecka niewola, która przez półtora wieku ciężkim brzemieniem przyciskała Sławonję.

Powódz muzułmańska wyszła z brzegów za dni wielkiego Solimana, zalała Sławonję, Węgier połowę i ze złowrogim szumem roztrzęsała się o twarde piersi chorwackich junaków, zagrażając nawet dwukrotnie cesarskiemu miastu, aż wreszcie przyszedł mąż, *missus a Deo*, *cui nomen Joannes*, odepehnął z pod Wiednia groźne fale i te powoli ustępowały po za dawne granice, oddając łup, zabrany przed laty.

Sławonja powróciła pod chrześcijańskie rządy, ale naród zdzielał, rozbiewał się, zleniwił pod władzą paszów okrutnych, chciwych i rozwiązłych; łatwiej było zaiste pozbyć się jarzma bisurmańskiego, aniżeli złowrogich jego następstw.

Relkowicz widział Sławonję wyzwoloną, ale nie widział w niej życia cywilizowanego, szlachetnego, ludzkiego, tylko niedbalstwo i demoralizację, smutne następstwa długoletniej, muzułmańskiej niewoli: noga turka, gniotąca słowianina, odeszła była za góry i rzeki, ale na dnu tego ostatniego pozostał ślad wyciśnięty i ten nie zacierał się wcale.

Dola wojenna rzuciła Relkowicza w dalekie strony. Bojował on w wojnie siedmioletniej w Prusach, i tam dostał się do niewoli. Miłość kraju ojczystego i wszystkiego, co dobre, rozumne, szlachetne, ogrzewała tę pierś, opiętą ciasnym mundurem, a zdrowe, jasne oko umiało patrzeć naokoło siebie i oceniać to, co warte było uznania.

Patrzył on na wytrwałą, systematyczną, rozumną pracę niemiecką, która piaski brandeburskie zmieniała w kraj kwitnący, a wtedy tembardziej musiała podobać się zacnemu chorwatowi, że z nią nie łączyła się jeszcze buta po-sedańska, ani pociąg do szwindłów i matactw, ani wzgarda dla wszystkiego, co obce, a zwłaszcza, słowiańskie.

Z bólem serca wspominał sobie jeniec równiny Sławonji, jeden wielki płat rodzajnego czarnoziemiu, a na nich leniwa, niedbała praca rolnika, nieprzywykłego robić zapasów na jutro; wspominał sobie w domu tegoż nieład i nierząd i lekkomyślną skłonność do chwilowej rozkozy.

I pytał sam siebie, czemu to w jego kraju nie jest tak, jak gdzie indziej? A na to odpowiadało mu sumienie, że lud ów nauczyć trzeba rozumnego żywota, trzeba mu zohydzić jego wady i błędy. Przeto lubo więcej wprawy w machanie szabłą, aniżeli wodzenie piórem po papierze, pocziwy wojak wziął się do wierszowania, sprostował, jak i nasz Jan czarnoleski, satyra z lesnej głuszy i kazał mu nielitośnie szarpać rogami wszystko, co w życiu sławońca było złem, śmieszkiem, szkodliwym.

Czy myślicie, że ów *satyr* wywołał oburzenie, gniewy, obrazy osobiste, polemikę dziennikarską? Na wielkie szczęście swoje Relkowicz nie szedł do próżnej, zarozumiałej, samolubnej pół-inteligencji, ale do prostego wieśniaka, mającego w głowie chłopski rozum, a w głębiach serca drzemiące, ale nie zamarłe skarby, skłonności do najeżystszych, najszlachećniejszych porywów, jakich zarodki Stwórca kładzie w każdą pierś ludzką, aby tam rozwinęły się, rozrodziły, lub zmarniały i zanikły... I lud sławoński przyjął szpetnego satyrę jako nauczyciela swego, słowa jego jako głos prawdy; książka rozszła się po chatach wiejskich, po domkach *graniczarów*, po siedzibach proboszczów wiejskich; kto nie umiał czytać, słuchał, jak mu inni czytali i całe ustępy nieraz z pamięci powtarzał.

Do dziś księgi Relkowicza znajdziesz w Sławonji w każdym domu obok modlitewnika i kalendarza...

Co więcej, lud przyjął do serca słowa prawdy i jeżeli wiele poprawiło się po sławońskich wioskach, to załuga w tem samorodnego poety Relkowicza, a nie mądrych kierowników nawy państwa rakuskiego, co nad modrym Dunajem nie bardzo kłopotali sobie głowy sprawami chłopów z po nad Drawy i Sawy.

Wiatr z posępnym szumem przeciągał po nad kasztany i olehy cmentarne, a mnie, patrzącemu na grobowiec wielkiego swej ojczyzny miłośnika, przechodziło na myśl pytanie, czy też powiedzieli mieszkańcy naszych partykularzy, gdyby im jaki satyr w zwierciadle pokazał, jak marny, czczy, niedorzeczny prowadzą nieraz żywot, jak zapuszczają chwastem niwę, którą uprawiać winien każdy — i ten, co chodzi po asfalcie Krakowskiego-przedmieścia, i ten, co brnie po bloku małomiejskich zaułków?

Czyby na podobieństwo wieśniaka sławońskiego przyjął to, jako głos prawdy, wołający o prostowanie ścieżek życia, czy też...?

Stłumiłem w sobie drugą część pytania — zdawało mi się, że byłaby ona krzywdą dla własnego kraju, do którego już tęsknić poczyniałem...

Bronisław Grabowski.

Kupiłem ją w przeddzień mego ożenienia, a zapaliła ją po raz pierwszy moja żona, w nasz pierwszy wieczór poślubny...

Pierwszą też rzeczą, jaką zwróciła jej uwagę, gdy ją z kościoła do tych dwóch małych pokoiów przywiózł, była właśnie ta lampa!

Widzę jeszcze moją żonę jak się zbliża pośpiesznie do stolika, w swej białej, skromnej sukience i welonie oblubienicy nad czołem jasnymi kędziarami uwiecznionem i składając rączki białymi rękawiczkami obciążone, woła z dzieciinną radością:

— Ach! jaka śliczna lampa!

Była rzeczywiście bardzo śliczna! Na brązowym postumencie stojąca postać kobieca podtrzymywała wielki rezerwoar z mlecznego szkła, otoczony podwójnym wieńcem całujących się amorków i róż; płomień osłaniał matowy również klosz w kształcie lilji.

Ta lampa była zarazem jedynym zbyt kownym sprzętem w naszym mieszkanku i zapewne dla tego odrazu wpadła w błękitne oczy mojej żony, która choć wychowana w nierności i utrzymująca się z lekcji sterota, miała bardzo wykwintne gusta i zaspakajala je nieraz kosztem nierozsądnych, zdrowie niszczących oszczędności.

Tę jedną tylko wadę — wadę mogącą w innem położeniu nawet za przymiot uchodzić — widziałem w niej, gdy ją kochający i kochany brał za towarzyszkę mojej szarej, twardej doli.

Boże dobry! jak nam się ta dola uśmiechała przeciw ten pierwszy wieczór, spędzony przy jasnym blasku naszej pięknej lampy. Siedząc na krytej drelishkiem sofce i trzymając się za ręce układaliśmy po raz tysięczny naszą przyszłość. Praca nas nie straszyla — byliśmy do niej przyzwyczajeni; tylko teraz, zamiast każde z osobna w chłodzie samotnego życia, mieliśmy pracować razem dla wspólnego szczęścia... Z początku będzie nam trochę trudno... potem coraz łatwiej... łatwiej, aż się życie wywinie jak z płatka! Ja patrzyłem w jej oczy błyszczące zapalem miłości i gotowością do poświęceń i czulem, że dopóki to wszystko w nich czytać będę, dopóty żadna przeciwność złamać mnie nie zdoła...

Z okien naszej ofeinyki widać było wewnątrz tylnych pokoi wspaniałego apartamentu pierwszego piętra. Mieszkało w nim także małżeństwo: brzydka, podzyla żona i przystojny, młody mąż, którego sobie kupiła, a który przestał już udawać, że ją kocha...

Przyprowadziłem moją żonę do okna i okazałem jej tę parę, siedzącą zdala od siebie na aksamitnych fotelach. On czytał gazetę i ziewał; ona z głową opartą na rękę patrzyła gdzieś w przestrzeń z wyrazem smutku i znudzenia.

— Patrz, mój aniele — rzekłem tuląc ją mocno do piersi — czy widok tych portjer, brązów i dywanów nie przejmuję cię żalem, żeś się na zawsze ze mną związała! Kto wie... może znalazłby się jakiś bogaty starzec, który w zamian za twoją piękność i młodość dałby ci to wszystko... tylko ty biedaczko nie mogłabyś mu tak ziewać, bo starzy mężowie despotyczniejsi są niżeli stare żony. Ale za trochę kłamanego uśmiechu i przymuszanej pieszczoty miałabyś na zawołanie karety i łożo pierwszego piętra, brylanty i aksamity. Powiedz, czy nie pożałujesz tego?...

Moja żona zarzuciła mi rączki na szyję.

— Nigdy — nigdy — nigdy — powtarzała przycisnionym głosem, a ja po każdym wyrazie całowałem jej drżące, różowe uszczka...

Minęło dwa lata. Przez ten czas byliśmy zdaje mi się tylko raz w teatrze, nie wyjechaliśmy ani razu na letnie mieszkanko, nie słyszeliśmy ani jednej wokalnej znakomitości, nie dawaliśmy u siebie tygodniowych wieczorów... mimo to byliśmy bardzo szczęśliwi... Moja żona była nawet szczęśliwszą niż ja... mnie brakowało jeszcze czegoś... małego na biegunach łożeczka i różowych rączek wyciągających się ku mnie z białej pościółki, i dziwnie mi się zdawało trochę że jej kobiece serce nie zategniło nigdy za świętą rozkoszą macierzyństwa. Gdy jej to mówił, nastrajała poważną minę i tłumaczyła mi tonem wyższości, że w naszym położeniu powinniśmy to uważać za dobrodziejstwo bo-że, i że pragnienie sprowadzenia na świat istoty, której w udziale niedostatek mógł się dostać, był szkaradnym egoizmem.

W trzecim roku zachorowałem ciężko i przez parę miesięcy nie mogłem podnieść się z łóżka. Stan mój pogarszały piękne udręczenia jakie znośiłem widząc, że moja ukochana żona, którą byłbym chciał po samych różach na rękę nosić, szarpie

swoje siły i pracuje podwójnie, by nastarczyć zwiększonym wydatkom i zapłacić lukę w dochodach moją bezczynnością sprawioną.

Jednak całe jej zapracowywanie się nie pomogło... i w rezultacie nie mając skąd pożyczyć pieniędzy, musiała sprzedać swoje jedyne kosztowności, złoty medaljon, koleczyki, bransoletę jeszcze za czasów panińskich kupione.

Zrobiła to bez mojej wiedzy, ale zmiana, jaką w niej już przedtem zauważyłem, uwydatniała się jeszcze bardziej. Poświęcała się dla mnie... prawda, ale widocznym było, że zaczyna to czynić z niechęcią, że w sercu jej wzrasta głęboka uraza, może do losu... może do mnie!

Naglona przeżeniami przyznała mi się wreszcie do sprzedaży tych słabych ozdób, które tak nosić lubiła. Zaczęłam jej robić wyrzuty mówiąc, że gdyby się mnie była zwierzyła, byłbym przecież temu zaradził!

— Byłbyś zaradził — odrzekła prawie sucho — jesteś zawsze optymistą mój najdroższy (przyzwyczaiła się tak mnie nazywać), ale ja patrzę jasno i wiem, że jeśli twoja choroba potrwa z drugie dwa miesiące, będę musiała wyprzedzić się do ostatniej sukni!

Gdyby mnie kto rozpalone żelazo na świeżą ranę położył, nie byłby mi sprawił większego bólu. Dziś jeszcze wierzę, że moja żona nie chciała mi temi słowami dokuczyć, że powiedziała bezwiednie, to co myślała... lecz tego było dla mnie dosyć! Zaciśnąłem zęby... nie dałem nie poznać po sobie, ale nazajutrz dzwignąłem się z łóżka. Chciała się temu sprzeciwić, prosiła mnie nawet ze łzami... odpowiedziałem jej łagodnie lecz stanowczo, że wstać chce i muszę i — czego człowieka siła woli nie dokąże? — ja, który sądziłem że jeszcze tygodnie całe z domu się nie będę mógł wychylić, w trzy dni potem poszedłem do mojej pracowni, blady jak widmo, ledwo suwający nogami — ale poszedłem!

Odtąd jakby coś niewidzialnego stanęło między nami. Kochaliśmy się niby zawsze, żyliśmy ze sobą zgodnie, nawet na pozór czule, ale nie było to już to co dawniej. Przez głowę mojej żony przemknęła się już była jak wąż myśl, że gdyby nie ja lepiejby jej było na świecie, a ja nie mogłem jej darować, że mi ją poznała dała. Mówiłem sobie nieraz z głuchą rozpaczą, że gdybym był umarł, odechnęłaby może swobodniej, jak ten nasz młody sąsiad z przeciwka, który wkrótce potem swoją starą żonę pochował, i przez rok cały nosił białe obszewki u surduta i czarną krepę na kapeluszu, jako oznakę żalu, że nieboszczka wcześniej się na tamten świat nie przeniosła a on nie mógł wcześniej wejść w wyłączne posiadanie ogromnego majątku, jaki mu zapisała.

Nie wiem czy to ta żaloba dla świata tak na niego oddziaływała, ale zrobił się bardzo melancholijny i często widywałem go na ile ciężkich, jedwabnych firanek jak stał przy lustrzanej szybie swego gabinetu, zapatrzony w niebo czy... w nasze okna... dostrzedz nie mogłem!

Zresztą nie zastanawiałem się nad tem tak dalece — zawiśle miałem do myślenia o mojej żonie. Działo się z nią coś dziwnego... Wyraz dziecięcej prawie szczerości, ów wdzięk niewymowny jej błękitnych oczu znikł, zastąpiony jakimś niespokojem, zagadkowym wejrzeniem... widać było, że walczy nadaremno, z ogarniającym ją coraz bardziej zniechęceniem i smutkiem. Lekcje, które dawała ciągle, nużyły ją i niecierpliwiły... a czasami wyrwały jej się z ust jakby mimowoli słowa zdradzające więcej może gorczy i rozdrażnienia, niż sądziła.

Cierpiałem strasznie nad tem — alem milczał!

Raz, pamiętam w pogodną, jesienną niedzielę wyszliśmy razem na spacer. Rzadko nam się to teraz zdarzało, ale żona moja była tego dnia w lepszym usposobieniu i chętnie przystała na moją propozycję.

W bramie musieliśmy przystanąć trochę, czekając aż wyjedzie kareta naszego sąsiada. Stał on właśnie w eleganckim angielskim paltocie z jedną nogą na stopniu karety i wydawał rozkaz stangretowi dzwiczynym i pewnym siebie głosem człowieka, przyzwyczajonego by go słuchano. Miał w postawie dużo szyku i swobody pańskiej, a w czarnym matowym kapeluszu było mu bardzo do twarzy.

Ja od czasu choroby wyglądałem mizernie, a w moim podszarzanym paltocie, i niepiękniejszej świeżości rękawiczek musiałem stanowić bardzo niepoehlebną dla mnie sprzeczność z tym młodym wdowcem.

Widziałem jak wzrok mojej żony przebiegł od niego do mnie; widziałem niewidzialne dla każdego innego oka ściąganie jej ciemnych brwi i odgadnięcie, że nas porównywa, tego tylko odgadnąć nie mogłem, czy to czyniła po raz pierwszy...

Przechadzka ta była dla mnie torturą i mówiłem

sobie, że byłaby wołała pojechać z nim karetą, niż iść ze mną piechotą i prowadzić ją przez ulicę jak delikwent palony podejrzeniem, iż ją to opieranie się na mojem ramieniu może nawet wstydzi!

Odtąd nie proponowałem jej już nigdy spaceru...

I upłynęło znowu miesięcy parę. Pewnego dnia, wróciwszy nad wieczorem do domu nie zastałem nikogo. Nie zdziwiło mnie to—moja żona z konieczności wychodziła często na miasto... dopiero po długim czekaniu na nią po ciemku zacząłem się trochę niepokoić... Wstałem z sofki, zapaliłem naszą lampę i wtedy spostrzegłem leżący na jej postumencie niezapieczony list...

Porwałem go z dreszczem strasznego przeczucia. Pisany był ręką mojej żony i zawierał następujące słowa:

„Nie potępiaj mnie i nie przeklinaj — ale tylko zapomnij o mnie. Nie mogę ci już dać szczęścia, sama zaś—wierząc mi, walczyłam długo i rozpaczliwie. Ciągłe tłumienie w sobie rozbudza się coraz nowe pragnienia, ciągle przymuszam się do tego, na co się nasza natura otrząsa, to było nad moje siły... Zostając twoją żoną, nie znałam dobrze samej siebie... w tem moja największa wina i moje nieszczeście. Sądziałam, że miłość zastąpi mi to wszystko, do czego zawsze skrycie wdychałam i tak było z początku... Ale dziś, miłości tej już niema w mojem sercu. Więć...”

Nie mogłem czytać dalej. Zaszumiało mi w uszach, w oczach zrobiło się czerwono, potem ciemno i upadłem na ziemię bez przytomności. Odzyskałem ją w szpitalu, skąd dopiero po długich pięciu miesiącach wyszedłem.

Podczas kiedym chorował, gospodarz mój nie mógł się spodziewać, żebym mu za stojące pustkami mieszkanie płacił, wynajął je komu innemu — a sprzęty kazał do jakiejś szopy przetranszować, i w tych to przenosinach zginęła nasza piękna lampa. Powiedziano mi potem że się stłukła... Kiwnąłem ręką. Cóż mnie wszystkie lampy na świecie obchodzić mogły! — coż mnie mogło obchodzić i to co mi także powiedziano, choć o to nie pytałem, że i pierwsze piętro od frontu miało innego lokatora: młody nasz sąsiad opuścił je w dniu zniknięcia mojej żony!... Odtąd nie słyszałem już nigdy ani o nim, ani o niej — a nadszedł taki czas, że mi i myśleć o nich zaprzestałem!

Przez dwadzieścia lat można się do wszystkiego przyzwyczaić i od wszystkiego odwyknąć. Mam tego dowód na sobie. Wczoraj jeszcze nie byłbym prawie umiał wyobrazić sobie, że nie zawsze byłem taki samotny i opuszczony, że życie miało kiedyś dla mnie swoje róże i blaski, że kiedyś kochałem, wierzył, cierpiał, ja który żyję zasklepiony cały w kamiennej obojętności, jak ślimak w skorupie.

A że mi się to wszystko teraz przypominało, to tylko z przyczyny bardzo dziwnego zdarzenia.

Oto dziś rano szedłem przez podwórze, na którym odbywała się licytacja. Mijałem spokojnie gromadkę ludzi skupionych dokoła stołu w chwili, gdy komornik wołał donośnym głosem:

— Lampa salonna, z brązowym postumentem, rezerwoarem z mlecznego szkła i takimż kloszem: Pół rubla! Kto da więcej?

Spojrzałem mimowoli i zaledwie nie krzyknął. To była nasza lampa!... zastarzała, zniszczona — ale ta sama.

W gromadce licytujących zapanowało chwilowe milczenie. Nie znajdował się jakoś amator.

— Rubla! — zawołałem przeciskając się pośpiesznie ku stolowi.

Spojrzało na mnie. Nowy współzawodnik dodał drugim bodźcem.

— Półtora! — zawołał ktoś z boku.

— Dwa! — odrzuciłem śpiesznie.

— Półtrzecia!

— Trzy!

— Cztery!

Mój przeciwnik opasły czelak z grubymi wargami zaczął się zapalać! Wziął mnie zapewne za amatora i znawcę starożytności, którego wprawne oko poznało cenną wartość tej rzeczy.

Doszliśmy do ośmiu rubli! Mnie ogarniała rozpacz prawie. Miałem ich wszystkiego dziesięć w kieszeni, a działo się ze mną coś dziwnego na myśl, żeby ta relikwia mojej przeszłości, tak niespodzianie odnaleziona, z rąk mi się wymknąć miała.

Przyskoczyłem do przeciwnika i chwyciłem go za ramię.

— Co panu na tej lampie zależy? — zawołałem gwałtownie. — Ona czterech rubli nie warta!

— Nu a panu? — zapytał z flegmą patrząc na mnie podejrzliwie.

— Mnie? — krzyknąłem. — Przecież to nasza — lecz pomiarkowawszy się dodałem spokojnie: — To moja dawna własność. Pamiętka!

Musiałoby być wiele prawdy w moim głosie i ten żyd musiał być bardzo poczciwym człowiekiem, bo rzecz rzadka, uwierzył mi na słowo!

Postąpiłem jeszcze pół rubla i pobiegłem z moim nabytkiem do domu!

Po raz pierwszy od lat dwudziestu doznawałem czegoś naksztaltu radości... A teraz zapaliłem ją i od godziny już przypatruję jej się zamyślony, lecząc wszystkie skazy, jakimi ją czas poznał. Biedna nasza lampa! Znikły uśmiechy z pozamazywanych twarzy twoich amorków, i zbladły świetne barwy twoich różanych girland, które wyglądają jakby zwidłe. Powyszczerbione liście liljowego kielicha sterczą szare i brzydkie, napróżno szukam ich dawnej mlecznej białości... Kładę dłoń na twoim postumencie, i myślę ile rąk brudnych może i chropowatych starło zeń ślady aksamitnych dotknięć tej malej rączki, która kiedyś była moja i miała być moja na zawsze? Gdzie ona teraz... Zda mi się, że w ciszy mojej izdebki, w której tak rzadko dźwięk czyjejś mowy się rozlega, słyszę ten głos pieszczony, powtarzający mi szeptem. „Nigdy — nigdy — nigdy” i czuję pocałunki tych ust rokosznych na moich ustach, których już nikt całować nie będzie. Czuję nawet, i to już nie złudzenie ale rzeczywistość, jak oczy moje wilgotnieją zwolna i część tego ciężaru, jaki noszę na piersiach, roztopia się w świętych łzach wspomnienia.

Wszystkie ciche, szczęśliwe wieczory, jakieśmy przy tej naszej lampie spędzili, rozwijają się przedemną, obrazami swemi zaludniając moją samotność... Kto by się był spodziewał, kto by się był spodziewał, mój mój Boże, że ten sam płomień, który mi przyświecał kiedym do uczty życia zasiadał, będzie patrzył na to, jak się, nędzny Łazarz, okruciami jej żywici będę.

Czy też ona, pomimo wszystkiego, pamięta jeszcze... naszą lampę?

Hajota.

Godła czeskich mężów.

(Z książki: „O upadku i odrodzeniu Czechów“.)

Badaczowi dziejów odrodzenia czeskiego nasuwa się często sposobność podziwiania głębokości uczucia, jakie kierowało życiem pierwszych wskrzesicieli ludu czeskiego.

Zrazu była to tylko szczupła garstka ludzi, lecz garstka bohaterska, pełna dzielności *straż przednia*, śladem której przyszły *legjony*!

W tej pierwszej garstce bojowników wszyscy czuli jednakowo, głęboko, żywo, wszyscy walczyli z niepospolitą energią, prawością i uczciwością...

Ci, co pierwsi stanęli w obozie „budzicieli”, rzadką odznaczali się potęgą charakteru — z wiarą iście rycerską spoglądali na niezbyt pocieszającą rzeczywistość i z siłą prawdziwych olbrzymów pracowali dla przyszłości „opuszczonego ludu”...

Wielec charakterystycznymi były godła, jakie przybrali sobie prawie wszyscy starzy patrioci czescy. Te ich godła były niejako treścią ich obywatelskiej działalności, wyrażeniem podstaw narodowej filozofii, wiedzy i miłości. Poeci i powieściopisarze, uczeni i dziennikarze, każdy używał swojej własnej dewizy, a lubo każda z nich z osobna wzięta miała różny charakter, to przecież cel zawsze był jeden. Rdzeń ich stanowiła zawsze miłość rodzinnego kraju.

Otóż pragnąc w kilku wierszach wykazać, jakimi zasadami kierowali się przewodnicy budzącego się z letargu czeskiego ludu, dzielę się z wami tym skarbem i zapisuję choć kilka najwybitniejszych z owych godeł z wymienieniem, kto się niem posługiwał.

Oto one:

Palacki Franciszek: „Každy przy swoim, a zawsze przy prawdzie!”

Furkynie Jan: „Gdziekolwiek i dopokąd Bóg ci żyć pozwoli, bądź wierny ojezyźnie, wierze, przyjacielowi!”

Tyl Jan: „Wszelkie nasze kroki powinny prowadzić do miłości narodu i jego szczęścia!”

Czelakowski Fr. W. (ojciec): „Tylko zgodny duch!”

Jabłoński Bolesław: „Słońce nigdy tak nie zaszło, aby ponownie nie zaszło!”

Hanka W.: „Dopóki język żyje — naród nie zginął!”

Machaczek K.: „Pracuj służyć ojezyźnie!”

Zap K. W.: „O nie nie dbaj — swoje czyn!”

Rieger Fr. L.: „Nie dajmy się!”

Praga czeska.

Edward Jelinek.

HOMO NOVUS.

Żałuje ludzkość tego co — było,

Rycerskie wielbi epoki...

I tęskni za tem — co się już skryło

Za średnich wieków obłoki...

I ja też lubię przeszłość — książkową,

Fantazji szcymem utkaną...

Lecz wielbię bardziej — epokę nową,

A kocham — przyszłość świetlaną...

Aleksander Kraushar.

* * *

Najwyższą potrzebą ludzkości nie jest ani rozum, ani siła, ani dobrobyt — ale sprawiedliwość: i dlatego, że ta idea tak małą gra rolę w kształceniu charakterów, ludzkość jest ciągle jeszcze tak wątłą i nędzną i czuje ciągle jeszcze na sobie kły i pazury zwierzęce.

Historja świata innym toczyłaby się torem, gdyby młode pokolenia wzrastały w świecie tej tak prostej, a tak wielkiej idei.

Nie róbcie nic więcej; tylko weześnie rozbudzajcie w sercach młodocianych czułość na krzywdę cudzą i szacunek dla cudzych praw, a zobaczycie jak niespodziewanie dochowywać się zaczniecie ludzi silnych, rozumnych, opływających w dobrobycie, spokojnie i szczęśliwie żyjących. Prowadźcie młodzież jaknajczęściej do tej świątyni, w której nie usta się modła, ale żywe serce; uczcie ją czynów moralnych; nauczajcie moralności przynajmniej tak, jak uczyte religji i wiedzy, a zobaczycie jak społecznie i rozjaśnione ta ludzkość — nad którą dziś jedni płaczą, inni się śmieją, a inni wreszcie z obojętnością przedmiotowego rozumu ukazują odwieczne nielitościwe fatum, bijące wciąż piorunami w najdroższe ideały.

Tylko niech praca nauczyciela, zajętego robotą okoto mózgów, nie psuje i nie niweczy zbawienne go truda rzetelnych wychowawców, kształcących charaktery.

Cheć w serca wszczepić sprawiedliwość, nie zasiewajcie niesprawiedliwości w umysły. Niech nigdy najuczciwsza nawet wiedza nie nazywa bezprawia wielkością, a rozbójnika — półbogiem. W świątyni, w której wznoszą się ołtarze prawdy i sprawiedliwości, niema miejsca ani dla czcicieli siły, ani dla sprawców prawa, ani dla tych przemądrych, którzy z dusz ludzkich wyrrywają uczucie odpowiedzialności, zasługi i winy. W szkole czy w domu, na forum czy na Kapitolu, w ciemnicy lochów czy u światłości szeptów, na których człowiek czuje się bliżej Boga — niechaj ideał prawa, jak powietrze niewidzialny, a i jak powietrze wszędzie obecny, w dusze ludzką przenika.

Słowa Dekalogu: „Miluj bliźniego swego” dla praktycznego celu wychowania zamienić się powinny w nakaz: „Szczuj prawa bliźniego swego, szczuj jego istotę, jego życie, dobro jego wszelkie — wszystko, co jego jest”. Gdyby większość powszechności narodowych miała w sobie od dzieciństwa wszczepiane to najświętsze przykazanie — powtarzam, historja świata innym poszłaby torem.

Postęp nauczył nas już wielu rzeczy, ale nas jeszcze tej jednej nauczy, abyśmy więcej dbali o ludzi, niż o wieprze lub konie. Dzisiejsze wychowanie jest tylko oskrabywaniem z wierzeju, bez wnikanja do głębi, do istoty samej. Zadaniem rzetelnego wychowania winno być wytwarzanie istot moralnych z istot naturalnych, dostarczanych przez naturę; zadaniem dzisiejszego wychowania gromadnego jest wyrabianie machin zarobkowych, zdelniej jaknajlepiej bez hałasu, bez sztuku i paku niedogodnego dla innych funkcjonować. Takie jest działanie i takie skutki dzisiejszej oświaty. Wychowania nie mamy wcale. Owe istoty, dostarczane przez naturę, wychowują się same; wychowuje je los, przypadek i znowu natura.

Wychowanie moralne, aby mogło być dobrem, musi być zasadniczo bezinteresownem. Moralność rzetelna nie może się opierać na żadnych zasadach ubocznych, ani dążyć do celów poza nią leżących i sama ona musi być dla siebie oparciem i celem.

Jestto czysty ideał dla ideału, sztuka dla sztuki, ale z tego ideału i tej sztuki oderwanej, nie, najdrobniejsze żdźbło nawet, dla rzeczywistości nigdy nie zginie. Kto innej moralności naucza, a nie tej idealnej, nakazującej kochać i pełnić dobro dla dobra, a sprawiedliwość dla sprawiedliwości, ten albo kaleką umysłową albo klameką jest. Nie wiercie w żadną moralność utylitarną, niepodległą, lub na poszanowaniu samego siebie opartą; to tylko czcze widma; istota czystej moralności tkwi w ideale bezwzględnym, nieublaganym, niemiłosiernym. Ideał ten panem i tyranem dla człowieka być musi.

Ludzie rzetelnie moralni, to jest silni a czyści, twardzi dla siebie a tłwi dla innych, będą zawsze rzadkimi na świecie, jak rzadka jest wszelka istotna arystokracja i genialność.

Dodajcie jeszcze do nich ludzi szczęśliwych bez grzechu, a będziecie mieli zastęp genjuszów dobra, wraz z zastępem genjuszów energii, rozumu i piękna, wytwarzający najwyższą, prawdziwą, jedyną arystokrację ludzkości.

Stanisław Krzemiński.

Nowy rok w Paryżu.

Wszak pamiętacie owe strofy Seweryna Goszczyńskiego, w których pięknie wyraża uczucia, jakie budzi rok nowy?

...Nowy Rok! rocznego świtu,
Tej pieśni doroczne echo,
Co zabrzmiało z wieków szczytu
Dla dobrej woli pociechą.

W takiej chwili człowiek patrzy
Nowego od Boga daru,
Drogi swych przeznaczeń gładszej,
Lżejszego dni swych ciężaru...

Świat cały rad sobie wzajem,
Życzeniami się obdziela,
Człowiek z człowiekiem, kraj z krajem!
Świat cały domem wesela...

Są wyjątki, te wyjątki nad którymi płacze poeta, mówiąc:

Pozdrowienia tobie niema,
Ni duszy w dłoni podanej,
Znikąd ci dobrego słowa,
Serdecznego upominku...

I nawet sami szczęśliwi nie są w stanie oprzeć się uczuciu jakiegoś smutku nieokreślonego, gdyż jeżeli umiera rok stary, to z nim razem i coś z nas umiera. Jednak mistyk pewien powiedział: „życie jest to ciągle zmartwychwstanie.“ Przywołamy więc do życia z przeszłości to, co godne zmartwychwstania, a to co niegodne pozostawimy wiecznemu zapomnieniu. Jakże czarującym i rozkosznym jest mytyczne podanie o wodach Lety... Czyż móżdż na treskach swych położyć datę roku minionego nie jest to samo, co owej wody wychylić szklanicę?... W kilku godzinach strapienia wszelkie o rok się starzeją, co dla wielu z nich jest groźnem, a dla niektórych śmiertelnem.

Co do uciesh naszych z roku minionego odżywają one, potęgując się i nabierając świeżości, opanowują tak dalece umysły nasze, iż w tym jednym dniu wykrzyknąć możemy razem z Archiasem, jednym z tyranów tebańskich: „na jutro ważniejsze sprawy!“ Mała jest liczba tych, przeciw którym troski tak silną zawierają koalicję, iż im zabijają dzień pierwszy stycznia! Szczęśliwsi niż Archias i niż Leonidas — możemy ucztować bez strachu i niebezpieczeństwa.

Niegdyś we Francji, tak samo jak w Polsce, obchodzono dzień wigilii Bożego Narodzenia — obecnie dzień wigilijny ustąpić musiał pierwszeństwa świętu nowego roku.

Alzaci i lotaryńczycy wprowadzili wprawdzie i utrzymują zwyczaj choinki wigilijnej, niemniej jednak wigilia Bożego Narodzenia jest tu pozbawioną charakteru religijnego i narodowego, jaki zachowała w naszym kraju. Wszystkie święta po kolei, jedno po drugim, upadły we Francji pod zbyt silnym naciskiem potrzeby zarobku. Te wielkie pieszczoty, te luty, które nigdy nie wygasają, są obrazem pracy, pracy bez wytchnienia i chwili odpoczynku ludności robotniczej francuskiej.

Pewien wielki poeta, załamawszy ręce na ruinach Rzymu, zawołał: „co to wysilenia, krwi i potu na każdym kamieniu tego miasta!“ Ileż potu i lez zostało na każdym kamieniu Paryża, jak wielką ceną działalności destruktywnej, jakim oceanem nędzy zapłacony jest ten zbytek oświeceniawczy, który zachwyca cudzoziemców... Paryż bawi, ale Paryż sam się nie bawi, Paryż się przepracowywa przez całych dwanaście miesięcy!

Pewnego razu w senacie p. Buffet w biegu rozprawy nad budżetem zacytował anegdotę o owym hiszpańskim magnacie, który szukając dła, jakiego oszczędności mógł zaprowadzić w swoich wydatkach, nie znalazł innej, jak chyba... nie palić lampy w swej sali jadalnej. W tem samym położeniu są francuzi co do świąt. Już im do zniesienia pozostaje tylko Nowy Rok — tak mało im bowiem zostało. Rząd chciałby dodać do 1-go stycznia, jeszcze 14-ty lipca. Robotnik wywiesza w dzień ten dywany, flagi i chorągwie i zdobi niemi swój dom, wieczorem zapala iluminację i przechadza się po ulicy, radując się, iż jego lampiony nie podobają się arystokracji i tej części mieszczaństwa, która niechętnie wspomina wzięcie Bastylji. Ale... pomimo świetności zabaw 14-go lipca nie mają one za sobą ogólnej wspólności, podczas gdy dzień 1-go stycznia jest dniem ogólnego próżniactwa. Niema zatem nic sprawiedliwszego, jak uznać, iż Paryż, ów Paryż, który się cudzoziemcom wydaje kiermaszem bez końca, jest miastem najbardziej ze wszystkich w święta ubogim. Po za warstwą kosmopolityczną, zewnętrzną ludzi, przyjemności i zabaw, roi się tu ludność zawzięta w pracy. Czy to święto kościoła, czy święto państwowe, ludność ta wszystko omija, nie biorąc prawie w niczem udziału. Najczęściej uroczystość jakaś dla robotnika jest tem samem, czem dla konia dorozkarskiego — przyrostem pracy i trudu. W dzień ta-

ki drobny naród szuka wszelkich sposobów, iżby cośkolwiek zarobić. Jeden noce całe przyrządza kokardy narodowe, lub chorągiewki, inny biegać będzie i krzyżeć cały dzień, żeby je sprzedać.

Pierwszego stycznia proletarijat nie pracuje ani dla złota, ani dla srebra; w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, w Wielkanoc, zobaczycie tu murarzy znojących się na rusztowaniach, zobaczycie pełne warsztaty i pracownice, w dzień Nowego Roku — nie!

Powiedziałem, iż Boże Narodzenie nie istnieje dla niewolników przemysłu. Mozolą się oni wtedy nad wyrobem zabawek na podarki noworoczne z gorączkową zawziętością. Światła palą się całą noc na poddaszach, ale wszystko musi być ukończone, wydane 31-go grudnia i nazajutrz dopiero wszyscy wypoczywają. Życzą sobie nawzajem, dają sobie podarki i... włączają się bez celu po ulicach.

Ci, którzy mają więcej stosunków niż dochodu, przeklinają Nowy Rok i zwyczaj dawania podarków noworocznych, niby naszej kolendy. Do iluż to biletów wizytowych trzeba dołączyć torebkę cukierków od Baisiera lub Charbonneta! Ale te ubolewania są wyjątkiem. Reguła ogólna jest, iż biedni ludzie dostają więcej, aniżeli dają... Ileż to mózgów pracuje nad tem, jak i czem zrobić przyjemność! Biedny nawet pozwala sobie zbyt kłownej rozkoszy, jaką gardzi zły bogacz — rozkoszy dawanania, choćby ptaszka, choćby kwiatka. Bulwary paryskie pokrywają się na tę chwilę straganami. Przez tydzień człowiek, którego całym majątkiem jest kilka zabawek, używa i korzysta z tego samego przywileju. Jakim się cieszy właściciel bogatego sklepu. Rozkłada on swój towar na najpiękniejszych i najbogatszych ulicach Paryża. Musi on ten towar sprzedać koniecznie. Jakże obawia się deszczu, któryby spędził spacerujących i gapiów — jego klientów. Jakież zapał rozwija on dla przyciągnięcia kupujących, jaką energję gorączkową! Krzyczy już i zachwala o ósmej rano, i krzyczy jeszcze i zachwala o pierwszej w nocy. Wynaleź zabawkę, malenstwo jakieś, któreby kosztowało choćby tylko dziesięć centymów, byleby było nowe, byleby cały Paryż chciał ją mieć, choćby tylko na pięć minut — to szczęście i majątek! To też jakie naprężenie umysłów tysięcy Archimedów w bluzach, trzęsących się z zimna na poddaszu noce całe, zanim wykrzykną będą mogli: „Eureka!“ A jednak bywają tacy z pomiędzy tych biedaków, którym takie „Eureka“ przyniosło pół miliona franków... Wynalazki to, którym się oprzeć nie można, choć efemeryczne. Kilka lat temu sprzedawano jakieś *kri-kri* fałszywie skrzypiące. Nie można było zrobić kroku jednego, żeby ten skrzyp nie rozdarł nam uszów; każdy kupował dla przyjaciół swoich, wysyłano na prowincję tysiącami wielkich tuzinów i potem... pewnego pięknego i nieodległego poranku każdy wyrzucił za okno *kri-kri*, tylko, że tych „każdych“ był... cały Paryż! Czasem wynalazek taki twarde ma życie. Balony na sznurkach i linkach jeszcze dziś bujają po powietrzu, służąc za reklamę magazynom nowości...

Bo i gdzież się nie wieśnie reklama? Pod wrotami kościoła Saint-Philippe du Roule rozdawano ubiegłej niedzieli litanję do świętych francuskich, aprobowaną przez kardynała Donnet, arcybiskupa Bordeaux, który zmarł niedawno. Litanja owa — miałem ją w ręku — składa się z szesnastu stronnie, z których ośm tekstu i ośm reklamy dla księgarni religijnej, firmy braci Périsse. Modlitwa i reklama zmieszane razem! Czyta się na stronicy 7-jej: „Prosimy Cię Panie, abyś nie dozwolił iżby nieprzyjaciele Twoi i kościoła świętego niszczyli królestwo Twoje!“ Przerzucza się kartę i znajduje się na stronicy 8-jej: „Wszystkie oprawy wykonane są w pracowniach własnych domu braci Périsse; są one zawsze szyte...“ Cóż robić! przyjemnie być musi dowiedzieć się podczas nabożeństwa niechęć, iż bracia Périsse poręczają za trwałość swoich opraw, zaczawszy od „chagrin“, gdyż za „bazane“ nie odpowiadają wcale! Oto przykład, który, jestem pewny, nie prędko będzie w Polsce naśladowany — dzięki Bogu!

Nie pamiętam już jaki autor zgryźliwy utrzymuje, iż gdyby człowiek znał przyszłość swoją, nie miałby sił do zniesienia życia. Ale życie to, jakkolwiek w licznych godzinach tak ciężkie, robi nam jednak czasami przyjemne niespodzianki. Gdy rok umiera, możnaby powiedzieć, iż powinien poeignąć za sobą wszystko co nas dręczy, podczas gdy to co nam wesele sprowadza, winno go przeżyć koniecznie. Zawsze tworzy się sobie mniemanie korzystne o tym, który nadchodzi. Ma on przywileje młodości — jest „dzieckiem cudownem...“ Nowy rok, to naczelnik rządu odnawianego co dwanaście miesięcy. Żądamy od niego, iżby nas obdarzył tem wszystkim, czego napróżno oczekiwaliśmy od jego poprzednika. Czyż jest powiastka piękniejsza, jak owa z „tysiąca i jednej nocy“, w której kalif przebiera się za czarodzieja, aby spełnić życzenia szewca biedaka. Za każdym ukazaniem się ducha dobrego, szewce nowe stawia żądania, aż kalif zmuszony jest wyznać, iż nie jest mocen zadowolnić pragnień najędźniejszego ze swoich poddanych...

Piękny to argument na poparcie nieśmiertelności. Tymczasem zanim gdzieindziej doczekamy się spełnie-

nia pragnień, tworzonych ciągle na tym padole płaczu bezowocnie, jakżeby było ciekawem podnieść pokrywę głów paryżan, jak „Djabeł kulawy“ Cazotte'a podnosi dachy domów i zobaczyć pragnienie wszystkich, a zobaczwszy, sporządzić ich statystykę moralną. Zapewne dowiodłaby ona, iż dobry Bóg, jak kalif z „tysiąca i jednej nocy“, miałby doskonałe racje niedostuchania żądań naszych do końca, w naszym własnym interesie. Dowiedzielibyśmy się z niej, ilu jest takich, którzy w dniu tym myślą tylko o sobie samych, a ilu takich, którzy myślą tylko o innych... Poznalibyśmy ideał większości ludzi — co — obawiam się — byłoby upakarzającym dla rodzaju ludzkiego.

Owo dziecię dziś zasypia mówiąc sobie, iż jeżeli mama da mu arlekin, który mu się podoba — to będzie rozkosz dopiero... a jeżeli mama da mu pajaca, który mu się nie podoba — jakież to będzie szaleństwo rozpacz! Później zmieni się przedmiot rozpacz lub rozkoszy, chociaż często ważniejszym i poważniejszym nie będzie jak ów arlekin i pajac.

Iluż to znowu jutro zlorzezczyć będzie, iż nie dostali zaproszenia na bal urzędowy, lub że nie otrzymali krzyża legji honorowej! Chciwość, próżność i łakomstwo pokazują się 1-go stycznia, tuż pod skórą nieszczęsnych, którzy przez całe życie w głębi serca tuczą jeden lub wszystkie te grzechy główne. Ale szlachetność, hojność, zaparcie się siebie i miłość bliźniego wydobywają się na wierzch z głębi dusz kochających na usta i oczy. I jeżeli nawrócenie jednego grzesznika więcej niebu przynosi radości, aniżeli dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują się poprawiać, to pewno i jedno dobre uczucie w rozkwicie zrównoważy i przeważy dziewięćdziesiąt dziewięć niskich żądz, które się zdradzają...

Najgorzej więc nawet przez los uposażeni mają w dzień św. Sylwestra więcej słodyczy, niż goryczy życia, gdyż 31-go grudnia nawet najtwardsze serce udaje przynajmniej czułość, której w niem niema, a inne znajdują sposobność okazać co czują, mają prawo stopić ciepłem swem warstwę lodu konwenansów światowych. Ciepło jednego słowa z serca płynącego, jednego gorącego pocałunku rozgrzewa i zabezpiecza od przyszłych mrozów. W epoce naszej ekonomiści starają się dociec: co to jest kapitał? Prawdziwy kapitał to uczucie, które wzbudza my. Prawdziwie bogatym jest ten, który kapitału tego ma najwięcej na swoją korzyść. Już Beranger napisał:

*„Les gîteux, les gîteux sont des gens heureux,
Ils s'aiment entre eux!“*

W istocie kapitał, jak wszystkie swe prawdziwe skarby, Bóg uczynił dostępnym dla wszystkich...

I tego to bogactwa życzyć wam, kochani czytelnicy, abyście posiadając go, wszystkie inne prędzej czy później otrzymali w nadatku.

Wł. Mickiewicz.

Z TEK I PESSYMISTY.

...Zawieść i próżność starają się obniżyć wszystko co wyższe; zdaje im się, że gdy wynajdą plamy na słońcu, zniżają je do siebie...

...Pobłażliwymi są ci, co nisko cenią ludzi, siebie także biorą w rachubę. Ludzie surowi dla innych, przeciwnie nigdy o sobie nie myślą nic złego. Surowych od pobłażliwych różni tylko większa lub mniejsza doza miłości własnej lub obłąd...

...Kobiet upadłych jest tyle co gwiazd na niebie — takie co upadły umiały się podnieść są rzadkie jak słońce...

...Łatwiej na świecie o dobre serce, niż o dobre czyn...

...Kobieta namiętna zawiele czyni dla jednego — kochanki zamała... dla wszystkich...

...Zacna kobieta jest godną uwielbienia, lecz przez skromność nie wiele kobiet chce być wielbionymi...

Mefisto.

Z dziejów miast w Polsce.

Różne koleje losu przechodziły miasta nasze. Raz obdarzane najczulszemi względami władzy zwierzchniej, stawały się wkrótce przedmiotem wyrażnej z jej strony niechęci, obsypywane cennymi skarbami samorządu wewnętrznego, to znowu odzierane z najdrobniejszych jego prerogatyw. Był czas, że prawodawstwo energicznie pracowało nad rzuceniem szerokich podstaw stanu miejskiego, jak znowu była chwila, że toż samo prawodawstwo burzyło wzniesione dawniej fundamenty.

W historii też miast zarysowują się wyraźnie trzy okresy dziejowe, objętością nierówne. Pierwszy — to epoka konstrukcji, tu bowiem powstaje i rozwija się samorząd miejski; drugi — to znowu epoka

destrukcji, spowodowana zwrotem w polityce wewnętrznej i nacechowana ogólnym upadkiem miast; wreszcie trzeci okres—to krótka stosunkowo chwila rekonstrukcji, szybkiej i starannej odbudowy zrujnowanego gmachu. Zamknęliśmy więc nasze rozczniki przywróceniem miastom dawniej przysługujących im praw.

Przejdźmy pokrótce głównejsze karty tych rozczników.

Do niedawna jeszcze toczył się spór o charakter pochodzenia miast naszych. Dziś wszakże nikt już nie wątpi, że rozwój miast w znacznej części należy przypisać kolonizacji niemieckiej. Ogniska życia miejskiego były początkowo nieliczne. Stolicie udzielnych książąt i kilka punktów handlowych—to prawie wszystko, co posiadało pierwotnie ustrój miejski. W ustroju tym panujący szukali punktu oparcia dla autokratycznych swoich dążeń. Ludność rolnicza kraju nie mogła wypełnić politycznego programu, który w urzeczywistnieniu swoim znalazł niespodziane przeszkody skutkiem nawalniczy mongolskiej, jaka w XIII-ym wieku kraj dotknęła.

Trzeba było uciec się do środków zewnętrznych i tu właśnie bierze początek kolonizacja.

Kolonizatorzy niemieccy tłumnie zaludniali nieliczne jeszcze w kraju miasta i zakładali nowe siedziby; obfite swobody i przywileje, jakie udzielano im dla podniesienia ruchu emigracyjnego, okazały się skutecznym środkiem w sprawie podniesienia urzędów miejskich.

Przez długi przeciąg czasu miasta nasze zachowywały charakter obokrajowy. Kolonizatorzy niemieccy przynosili ze sobą domowe zwyczaje i prawa, urządzali się po swojemu. Ludność miejscowa brała wprawdzie w nich udział, lecz była liczebnie zbyt słaba, ażeby wpływem swoim od razu podbić przybyszów.

Miasta urządziły się na zasadach prawa niemieckiego. Mieszkańcy zarządzali się sami; na ich czele stała rada z wójtem, jako głowa miasta, i ława z ławnikami. Obie te instytucje reprezentowały władzę administracyjną i sądową. Samorząd był tu zupełny, a nawet więcej, bo gdy dziś nauka i praktyka administracji upoważniają władze państwowe do pewnego oddziaływania na instytucje autonomiczne, podobnie jak jeszcze o podobnym oddziaływaniu nie było mowy. Nikt nie miał prawa wtrącać się do spraw miejskich, oprócz ich przedstawicieli. Pochodziło to wyłącznie z separatyzmu narodowościowego, jaki cechował miasta nasze w pierwszych chwilach kolonizacji niemieckiej. Ze separatyzm ten istniał i że był bardzo silny, na to historia dostarcza zbyt wielu dowodów. Wszelkie np. odwołania, apelacje od decyzji władz miejskich szły nie do wyższych instancji krajowych, lecz do niemieckich, mianowicie do tych miast, które były typem urzędów autonomicznych miejskich, głównie zaś do Magdeburga. Wreszcie takim dowodem jest głośne w dziejach starcie pomiędzy wójtem krakowskim, niemcem Albertem, a najwyższą władzą zwierzchnią w kraju. Starcie to było też zapewne powodem zwrotu w polityce wewnętrznej względem miast. Kazimierz Wielki, przedsiębiorca olbrzymie dzieło kodyfikacji ustaw krajowych, uderzył w dotychczasowy separatyzm miast i rozkuł zamknięte jego ogniska.

Zresztą, stosunki wewnętrzne jednocześnie wyrażały potrzebę zaopiekowania się stanem miejskim. Z jednej strony, ludność miejscowa, wstającą w siły liczebne i zamożność, coraz bardziej podbijała pierwiastki napływowe. Z drugiej zaś, wzmagający się wpływ możnowładztwa świeckiego i duchownego, grożący ścieśnieniem prerogatyw władzy królewskiej, bezustannie podsuwał panującym myśl wytworzenia silnego stanu miejskiego, jako podpory tronu.

Ten proces wewnętrzny, ta walka stronniectw sprzyjała rozwojowi miast dopóty, dopóki siły walczących równoważyły się—jest to więc pierwszy okres rozkwitu samorządu miejskiego i dobrobytu ludności.

Lecz w XVI-ym wieku walka zaczyna się zaostrzać z widoczną przewagą jednej strony, która też szybko odnosi zwycięstwo; król, sejm i senat—oto forma obecnej władzy zwierzchniej, której berło w rzeczywistości przechodzi w ręce stanu szlacheckiego.

Zwrot dziejowy, zapowiadający nową epokę w historii kraju, nie mógł też pozostać bez wpływu na rozwój miast. Odczuły go one szybko i dobitnie. Miasta były stronnikami partii zwyciężonej, musiały więc dzielić jej losy.

Niebezpieczne przez swą zamożność, przez swą siłę materialną, miasta przedewszystkiem musiały utracić podstawy do dalszego rozwoju ekonomicznego. Była to w dalszym ciągu walka stronniectw, w której zapaśnicy nie zwracali uwagi na interes ogólny, lecz wyłącznie własny. Odjęto więc naj-

pierw mieszkańcom miast prawa tworzenia cechów rzemieślniczych i zawiązywania bractw, wzbroniono wywozić towary za granicę i ustanowiono cła. Samorząd pozostał, lecz do nadzoru nad urządzeniami miejskimi ustanowiono starostów, którzy powoli coraz bardziej rozszerzając granice swej władzy, wkrótce zapanowali nad instytucjami autonomicznymi w miastach.

Skutki takiego gospodarstwa niedługo dały czekać na siebie, ile że do przyczyn powyższych przyłączyły się jeszcze inne klęski ogólne, jak np. częste pożary, liczne wojny i napady szwedów i tatarów, choroby epidemiczne itd.

Już w XVII-ym wieku powierzchowność miast zmieniła się nie do poznania; życie obumarło, rzemiosła podupadły, handel nie miał zupełnie pola do rozwoju.

Myliłby się, kto by przypuszczał, że opisane dotąd koleje, przez jakie przeszły miasta nasze, są własnością wyłącznie naszych dziejów. Należą one do historii całej prawie zachodniej Europy. Zarówno u nas, jak i na zachodzie ogólne prądy stosunków wewnętrznych unosiły na swych falach losy miejskiej ludności, zarówno tu, jak i tam posiadały miasta swoje chwile rozkwitu i upadku.

Ostatni był nawet naturalnym następstwem ówczesnych poglądów, nie mogących się dostosować do zasady równouprawnienia pracy we wszystkich jej rozgałęzieniach. Każdy stan, a tembardziej wyższy, usiłował zachować właściwe sobie cechy formalne. Jedne zajęcia były szlachetne, inne podle, a właśnie do rzędu tych ostatnich zaliczały się rzemiosła, nie wyłączając malarstwa i handlu.

Zwrot w tych pojęciach i zwrot w całym kierunku dziejów nastąpił w XVIII-ym wieku. Epoka ta również ważna dla Francji, jak i dla nas, tylko że w ówczesnej Polsce traktowano sprawę reformy mniej teoretycznie, mniej kosmopolitycznie. W pomysłach tej epoki czuć wyraźnie tętno wieku, lecz postulaty i wnioski ogólne ujęto w karby praktyczności; w ogóle zaś cały ruch ówczesny na zachodzie odbił się u nas przy rozstrzyganiu i załatwianiu spraw domowych, spraw najpilniejszych wtedy, którym współcześni nadawali znaczenie spraw życia i śmierci.

W ciągu podniesionego tu ruchu reformy rozpoczęła się też trzeci okres w dziejach miast naszych—okres odbudowy ich stanu pierwotnego.

Z kolei przyjrzyjmy się temu ostatniemu okresowi, wabiącemu historyka nadmiarem życia, wszechstronnością jego kierunków.

Wyłudnienie miast, ubóstwo ich mieszkańców, upadek rzemiosł—wszystko to wymagało środków, zdolnych przywrócić warunki pomyślnego rozwoju. Takich środków szukano energicznie. Podjęta w tej mierze reforma została przeprowadzona do końca.

W rzędzie spraw, jakie podnoszono w epoce sejmiku czteroletniego, żadna może nie była opracowana tak drobiazgowo, żadna nie zajęła tak długo czasu i tak licznym komisjom, wreszcie żadna nie została uwieczniona tak pomyślnym rezultatem, jak sprawa reorganizacji miejskiej.

Mamy tu na myśli przedewszystkiem działalność, dotąd zbyt mało badanych, komisji dobrego porządku, oraz ustawę kwietniową z 1791-go r., jako ostateczny wyraz reformy miast.

W poczuciu potrzeby dźwignięcia stanu miejskiego wyznaczono po województwach t. z. komisje *boni ordinis*, czyli dobrego porządku, złożone ze szlachty miejscowej.

Komisje te miały się zająć uporządkowaniem statutów miejskich, t. j. skodyfikowaniem wszystkich praw, przysługujących każdemu miastu z osobna, co było niezbędne wobec niejednolitości przywilejów miejskich w kraju naszym; obliczeniem ilości domów i domów w każdym mieście, oraz obliczeniem cyfry mieszkańców w podziale na rozmaite kategorie, tak podług zatrudnień, jakoteż i podług wyznań, a także pleci; zbadaniem stanu przemysłu i handlu po miastach, obliczeniem rzemieślników; wreszcie, przywróceniem porządku i ładu w urzędach miejskich administracyjno-sądowych.

Ostatni punkt przez nas wspomniany posiadał szczególną wagę. Już wyżej nadmieniliśmy, że kolonizatorzy niemieccy przynosili ze sobą formę samorządu gotową, która też pozostała własnością miast naszych. Z czasem jednak, gdy separatyzm miast usunął, a ludność krajowa dokonała dzieła asymilacji pierwiastku obcego, forma ta musiała powoli utracić początkową swoją czystość. W istocie, już w XVI-ym wieku czuć się daje potrzeba kodyfikacji. Kilka prób dokonano, lecz statuty podobne wydane nie mogły wstrzymać życia i przykuć jego objawów do starych stałych form, tembardziej gdy życie to tak szybko pochylało się w odmiennym kierunku. To też w XVII-ym i XVIII-ym wieku miasta rządzą się zwyczajami, na dnie których spoczywa zawsze dawne prawo. Komisje porządkowe miały właśnie na celu ułożyć ordynacje miejskie na pod-

stawie materiału, jaki na miejscu znalazły bądź w zwyczajach, bądź w prawie niemieckim.

Zadanie to w połączeniu z poprzednio omówionymi wypełniało główną część programu działalności komisji porządkowych.

Zdawałoby się napozór, że instytucja komisji, jako złożona wyłącznie z osób stanu szlacheckiego, albo zupełnie nie urzeczywistni swojego programu, albo też wykona go jednostronnie, że usunięcie od udziału w pracach komisji osób przedewszystkiem zainteresowanych, t. j. stanu miejskiego, niekorzystnie wpłynie na rezultat działalności komisji.

Tak jednak nie było.

Obfite materiały statystyczne, ekonomiczne, administracyjne i sądowe, jakie pozostały po komisjach, staranne ich opracowanie, wypełnienie wszystkich rubryk i zebranie wszelkich danych przekonywają, jak głęboko pojmowały komisje znaczenie swojego urzędu. Materiały te stanowią dla historyka prawdziwą kopalnię wiadomości do charakterystyki miast w ostatniej ćwierci XVIII-go wieku. Dotąd pozostają one w ukryciu archiwów, lecz i to, co już zdołano opublikować, daje miarę niezmiernej ich wagi.

Komisje porządkowe nie mogły jednak zbierać owoców swej działalności, jako instytucje, organizujące zarząd miejski. W tym tylko jednym punkcie, komisje zdradziły brak kompetencji, a usunięcie stanu miejskiego od prac w tej mierze okazało się niepraktycznym. Niedokładności co do urzędów miejskich nie były jednak powodem jakiegobądź stagnacji w reformie miast ogólnej. Komisje pracowały przez lat kilkanaście i zamknęły swoją działalność mniej więcej około 1786 r. Prace komisji przygotowały grunt dla wprowadzenia ostatecznie zreformowanych urzędów miejskich, jakie objęła ustawa sejmowa z dnia 18 kwietnia 1791 r. Jest to ustawa zupełnego samorządu miejskiego, która łącznie z kilkoma znanymi uchwałami ówczesnej władzy prawodawczej upamiętnia działalność czteroletniego sejmu.

Zawierucha wojenna, ogarniająca kraj cały, wstrzymała wkrótce wszelkie kroki na polu reformy wewnętrznej, zwracając uwagę ogólną w stronę placu walki...

Czy ta niezwykła energia i życie, jakie obudziły się w sprawie miejskiej w drugiej połowie XVIII-go wieku, nie znajdowały odgłosu wśród mieszkańców miast?

Przeciwnie, pomimo upadku, pomimo usunięcia od udziału w sprawach publicznych przez trzy blisko wieki, pomimo wyraźnej niechęci stanu uprzywilejowanego, ludność miejska nigdy nie była nieczułą względem sprawy ogólnej.

Gdy chodziło o interes stanu jednego, pozostawała bierna, bo pozostawać nią musiała, lecz w wypadkach krajowej potrzeby, miasta nasze pierwsze niosły swą pomoc, swą ofiarę na ołtarzu dobra publicznego.

A jednak dotąd losy obchodziły się z niemi po macoszemu...

Fr. Olszewski.

Z teki pośmiertnej Mieczysława Romanowskiego.

SPODZIEWANEJ.

Co myślisz? rzeknę gdy zejdzem się znowu
Po dniach tak wielu i różnej kolei
Skargi nieś memu nie rozkażę słowu,
Ni się odemnie dowiesz o nadziei.
Jedna i druga trwoży cię daremnie...
Toż się nie lękaj! tych mar niema we mnie.

A jednak serce tak samo mi płonie,
Tym samym czarem dusza ma objęta!
Tylko, że całą głębię w moim łonie
Jakaś mi cisza wypełniła święta,
Jakiś uczucie kojące i bogie,
Że i w tęsknocie uśmiechać się mogę.

I z moich wspomnień żadne mnie nie boli,
Ni się o przyszłość mój duch kiedy lęka,
Nie wiem, czym przywykł tak do mojej doli,
Czy pierś—anielska dotknęła mi ręką,
Ale się czuję w takiej sile zbroi,
Że nie ja, jeno mnie rozpacz się boi.

Wiem, że nie dla mnie szczęścia blaski świetne.
O szal miniony już się nie pokuszę,
Kocham, co wielkie, czyste i szlachetne,—
Ciebie, bo bielszą masz od lilji duszę:
Boś i ty sercem przeniosła szlachetność
Nad blaski świata i nad doli świetność.

I teraz siostrę czekam cię jak wiosny,
Której niedługo płaszczyć się rozzieleni,
Ostatni może tu mój dzień radosny,

Przed pracą lata i głuszą jesieni,
Ostatnia może to już chwila z owych,
Pamięci jasnych, sercu wiecznie nowych.

Powitam ciebie, jak witam natchnienie,
Po którym w piersi złota pieśń zostaje,
Jak witam ducha mego uniesienie
W sfery słoneczne i aniołów kraje!...
Spokojny jednak czekam onej chwili,
Co z takim szczęściem ku mnie się nachyli.

NA CMENTARZU.

Jaka tu cisza! wonie jak na łące.
Tam za drzewami ginie blask słoneczny,
Patrz, każde drzewo zdaje się modlące
O spokój wieczny.

Cicho tu, dziewczę! patrz, tam miasto w dole
Gwarem urąga tej cmentarnej ciszy,
Z śmiechu i biesiad przewala się w bole,
Boga nie słyszy.

Cnota tam we łzach — prawość niema chodzą,
W przepychu — zdrada, w uwielbieniu — zbrodnia,
Dziw mi, że jeszcze nad tem miastem wschodzi
To słońce, boża pochodnia.

O cicho! nie bluźń; słyszysz szmer dokoła?
Rozlał się skargą na mogił kobierce;
Każdy z tych ludzi ma stróża anioła,
Ma jak my serce.

Kłękni i módl się za nich, liljo droga!
Dusze te, serca długo szatan psował; —
Ach! gdybym czasem nie czuł śród nich Boga,
Tu bym się schował...

ZŁOTY SZLAK.

Nam pęka serce, nam się krwawi łono,
Gdy otoczeni tą rzeszą spodłoną
Głos czysty mamy podnosić:
Już z nas niejeden zrażon dzikim wrzaskiem,
Szedł pogardzając złością i oklaskiem,
O rychłą śmierć Boga prosić.

Kto dzisiaj plonu spodziewa się z roli,
Nieraz go jeszcze serce tak zaboli,
Zwątpienie zaćmi powieki.
Od Nazaretu po świata przestworze,
W bólach i mękach nieśli słowo boże
Wysłańcy Pana — trzy wieki.

Do lotu ptaków wybrana drużyno,
Lata przemina — głosy nie przemina,
Ni szlak nasz złoty do słońca!
Szkielety nasze niby drogoskazy
Ślad im oznaczają do cudnej oazy —
Gdzie pania — Miłość bez końca...

SZOPKA.

Pamiętacie obraz Kaulbacha, na którym w powietrzu
bija się duchy...

Sytuację polityczną na progu Nowego roku określić
można temi słowy: bitwa duchów.

Czujemy tę bitwę w powietrzu, dolatują nas jej odgłosy — a przecież na ziemi cisza, pokój, miłość... Wprawdzie odzywają się działa wypróbowanego kalibru, jak: *Kölnische, Vossische, Grenzboten, Norddeutsche, Kreuzzeitung*, ale to naczelnicy kanonier europejski tylko salwy daje... na uroczystość nowego, miłościwego lata. Wprawdzie działa węgierskie, poczuwszy proch, odpowiadają copredziej strzałami na tyraljerkę, a *Pester Lloyd* na czele ich woła: „owszem, owszem, im prędzej, tem lepiej! wojna być musi, my to wiemy, a i ślepy namaca, jesteście gotowi”, — a ze strzału tego roznosi echo grzmoty po całych Węgrzech, — tak, że kiedy p. Tisza wystąpił w postaci anioła pokoju, wypadł z roli i zakończył piosenką całej prasy wiedeńskiej: „ale, gdyby przyszło do czego, gdyby ten (wiadomy) spór wybuchnął, — staniemy wszyscy jak jeden!”

Wszakże te strzały węgierskie były pomyłką; anioł pokoju, niezrozumiany w Pesze, rozpostarł copredziej skrzydła nad błękitnym Dunajem i odezwały się flety urzędowe i półurzędowe, zagrały sielankę, a telefony poniosły ją do Berlina, i w powrocie przyniosły z tamtąd parę także „czułości”. te kolendy dla ludów zwały się z sobą i powstał ztąd taki niebiańsko-piekielny koncert, że echo jego nabrało znowu w powietrzu pozorów grzmotu, *fata morgana* pokazały bitwę. Dziwna rzecz, wszystko na niebie odwrotnie się odbija niż na ziemi. Tu Bismarck, Kalnoky, Giers ściskają się i łamią opłatkiem, a na niebie hunnowie uderzają w tarcze.

Teatrum świata na rok nowy doskonale jest przeto uposażone... Dla wszelkich sztuk, dla fars i tragedji gotowe dekoracje, artyści uczy się na raz przeróżnych ról i równocześnie odbywają próby, a sufler jest boski... Pu-

blika będzie bila olbrzymie brawo — jeżeli sama bita nie będzie i jeżeli teatrum całe, jak to dzisiaj zwyczajem, nie stanie w ogniu.

Ale, że „w tej budzie dość miejsca, wszysey się zmieścimy” — więc zdarzają się i mniejsze epizody, do głównej „bajki” wtrącane. I tak naprzykład wiedeńscy nieprzejednani *herbstzeitlosen* zdążyli zawołać przy dobrej okazji tradycyjnie swe: „Hajże na Soplicę, to oni dzgają, to jagnię czesko-polskie wodę macił...”

Na maleńkiem zaś teatrum na Wiedniu grają „*Bettelstudenten*” — żaka żebrzącego. Operetka wiedeńskiego maestra odgrywa się w Krakowie, bohater to coś „z chłopięcą książką” — komicznymi figurami są sasi, a z boku, nawiasem, wykpienie niektóre polskie femy. Całość wcale udatna, ale ta plotka nie ma żadnego związku z wielkiem teatrum świata.

Ho, ho! nauka nie poszła w las... A niechże tam sobie grzmi i lyska, niech i syreny śpiewają, to przecież polskiego *Bettelstudenta* na teatrum niema. On już wie, że garnuszków obnosić nie warto po świecie, że tylko w domu można się pożywić i tylko w domu się godzi...

W domu to sobie można i zaśpiewać kolendę „o pastuszkach”, o owych, co to podarunki nosili do Betleem, ale podarunków ze siebie nie warto i nie należy już robić nikomu.

Cincinnati znaleźli rzymianie przy skromnym pługu, na grzędzie ojczystej, aby go postawić na szczycie wykarminionej „wileczem mlekiem” rzeczypospolitej.

Lepiej być Cincinnatiem, niż „żakiem żebrzącym.”

Dziwi...

Alfred Szczepański.

WIEK ŻELAZNY.

Dziś wiek żelazny... twardą powłoką
Krzepić się musi ludzkość wytrwała,
Przez kraje ziemskie wstęgą szeroka
Żelazna kolej świat opasala,
Na zgubę ludzką metal zawzięty
Twarde, zabójcze kuje pociski,
Morze żelazne prują okręty
I ludzkość prują żelazne zyski;
Gmachy w żelazne belki się stroją,
Skała pod świdrem żelaznym trzaska
Serce się kryje żelazną zbroją
I twarze skrywa żelazna maska.

Kiedyż obroza się ta rozluźni?
Kiedyż martwota się ta rozbudzi?
Kiedyż przestaniem kuć dusze w kuźni
I żądną walki pancernić ludzi?
Nad metalową skarczony glebą
Człek leje działa lub ryje minę...
Dajcie nam światła — choć przez szczelinę
Niech świat stęskniony zobaczy niebo!

Wacław Szymanowski.

BRYŁA ŚNIEGU.

Impromptu noworoczne.

Dach to był szczególny, jakich już dziś jest niewiele, stromy, śpięzasty, czterokątny, kształtem i ogromem przypominający piramidę egipską, a różny od niej tylko tem, że miał na szczycie komin, zionący dymem, komin który świadczył wymownie, iż wewnątrz znajdowały się nie groby Faraonów, lecz prozaiczne piece i kminy.

Na każdą ze spadzistych powierzchni tego dachu przez ciąg listopada i grudnia padały od czasu do czasu białe płatki śniegu i tworzyły warstwę dość grubą.

Od strony południowej, zwróconej po nad ulicę, najsilniej dopiekało słońce, warstwa śniegu topniała częściowo, zbijała się w grubą masę, pokrywała się następnie nowym śniegiem, znów zwilżała pod wpływem słońca, obsuwając się coraz bardziej ku rynnie, aż nareszcie zwiśla z po nad niej niby miecz Damoklesa nad głową przechodniów.

W miarę jak drobne płatki śniegowe pod wpływem słońca skupiały się w jedną bryłę, zaczynały się poczuwać całością, aż nareszcie gdy bryła jednolita zawiśla nad ulicą, obudziło się w niej kartezyjszowskie: *Cogito, ergo sum*, i powiedziała sobie:

— Wiem nad choduikiem, więc jestem!

Od tego czasu, dumna swoim samopoznaniem, zaczęła robić obserwacje. Uważała na wszystko, co działo się pod nią i koło niej.

Pod nią roili się ludzie: weseli i smutni, ruchliwi i oziębali, zaferowani i swobodni, milezący i gwarzący wesoło.

Przypatrując im się ciągle, po całych dniach, bryła śniegu nabrała pewnej wprawy w czytaniu z fizjognomji każdego przechodnia jego myśli, nspobień, a nawet losów. Naturalnie, tylko mężczyźni w ten sposób poznać mogła, bo kobiety nosiły ta-

kie rozległe kapelusze, iż patrząc *à vol d'oiseau* z krawędzi dachu niepodobna było domyślić się, że pod temi kapeluszami były jakieś ludzkie istoty.

Wieczorem i w noce, gdy ruch na ulicach ustał, bryła obserwowała przy blasku księżyca swoje sąsiadki na innych, nie tak stromych dachach i dzięki tym obserwacjom zbadała, jaki los oczekuje ją sama.

Sąsiadki jej, gdy doszły do pewnego wieku i zsunęły się na krawędź tak jak ona, po niejakiem czasie obsuwały się jeszcze bardziej, spadały i rozbiły się na chodniku. Niekiedy jacyś ludzie wychodzili na sąsiednie dachy i za pomocą łopat przyspieszali tragiczny zgon brył-sasiadek.

— Tak i ze mną będzie! — mówiła do siebie smutnie nasza śnieżna lodowata bohaterka — na ten dach wprawdzie, na którym się znajduję, człowiek nie wejdzie, gdyż pierw stoczyłby się niż ja, ale katastrofa naturalna jest nienuikniona. Jedna lub druga odwilż, a roztrzaskam się na tej kamiennej, szklistej warstwie lodu pokrytej i popiołem posypanej tafli. Oh! jakież marny mój los, jakże znikome moje istnienie, bodaj czy nie tak marne i znikome, jak ludzkie!

Żal się zrobiło bryle siebie samej.

— Gdybym choć coś wielkiego w życiu zrobić mogła — rozmyślała dalej — gdybym spadając i ginąc mogła mieć to przekonanie, że moje istnienie nie było nadaremne, że się na coś świata przydała. Otóż wtedy, lżejby mi było lecieć w tę kilkopietrową przepaść, którą mam pod sobą.

Długo bryła myślała i kombinowała, czy nie mogłaby czemkolwiek bytu swojego upamiętnić, widziała jednak przed sobą tylko jedną, jedyną drogę.

— Opóźnić chwili swego upadku nie mogę — rozmawiała z sobą — ale mogę ją przyspieszyć. Czuję w sobie pewną siłę i samowiedzę. Szarpnąwszy się z wyteżeniem tej siły, mogę spaść trochę prędzej niż mi przeznaczono. Trzeba zatem użyć upadku mego na to, ażeby z niego wynikło coś przynoszącego zaszczyt mojej pamięci. Oto naprzykład, oberwę się wtenczas, gdy będzie przechodził jeden z tych olbrzymich kapeluszy, pod którymi niewiadomo co jest. I kapelusz i to coś niewiadome a ruszające się, co jest pod nim, zmiażdżą na placek wielkanocny, a świat będzie się dziwił mojej potędze...

Zastanowiwszy się trochę lepiej nad tym pomysłem, bryła wzdrygnęła się tak, że aż wstrząsła się w posadach i ledwie zaraz na bruk nie upadła. Serce jej — ciepły przymyk grudniowego słońca, zamknięty w powłoce lodowatej — nie mogło pogodzić się z myślą zrobienia czegoś złego, nawet jakiegś niewiadomej istocie, ukrytej pod wielkim kapeluszem.

— Nie! nie! — zawołała stanowczo — muszę tak upaść, ażeby kogoś uszczęśliwić. Będzie to godniejsze mojej pamięci, ludzie mnie będą za to błogosławić!

Spojrzała na dół, szukając wzrokiem kogoś, aby go uszczęśliwić swoim upadkiem.

Ale nie łatwo było dojrzeć kogoś nieszczęśliwego. Było to w sam nowy rok. Wszysey byli szczęśliwi i weseli, nasłuchali się życzeń od krewnych, przyjaciół i znajomych i wierzyli święcie w ich spełnienie, namiętnie koledowali datków i czuli pełną kieszeń, a ci najbiedniejsi, którzy nie mieli nic, cieszyli się nadzieją, że jutro lub pojutrze dostaną coś ze składek wnoszonych do redakcji *Kurjera* w miejsce rozsyłania biletów noworocznych.

Obserwująca bryła poczęła już tracić nadzieję znalezienia kogoś, którego by mogła uszczęśliwić w tym dniu radości powszechnej.

Wtem nagle w dość znacznej odległości ukazała się postać jakiegoś mężczyzny wcale nie promieniąjącego radością.

— Al! mam jednego nareszcie — zawołała bryła uszczęśliwiona — poznaję go... to pan Arkadiusz... widywałam go często i domyślałam się czemu smutny. Spodziewał się listu z pieniędzmi, list nie przyszedł, stawił na loterję i przegrał, starał się o posadę, odmówiono mu, żona w domu narzeka, że resztkami gonia, a nadziei jutra nie widać, w dodatku za go boli okropnie. Czyliż to nie dosyć nieszczęść jak na jednego nieboraka w sam nowy rok?.. Ale poczekaj, poczeiwino, zaraz się to odmieni. Będiesz szczęśliwy, zapomnisz i o bólu zęba i o wszystkich swoich dolegliwościach...

Pan Arkadiusz zbliżył się właśnie. Obserwująca go pilnie bryła śniegu szarpnęła się całą swoją kolosalną postacią i z wysokości trzeciego piętra runęła na chodnik.

Spadła tuż przed panem Arkadiuszem u samych nóg jego.

Jeden drobny jej odlamek trafił go nawet w sam ten punkt nogi, którego wyjątkowa drażliwość na-

wszelkie stłuczenia lub uderzenia ludzkość zawdzięcza fabrykantom obuwia.

W każdym innym razie pan Arkadiusz byłby zaklął albo przynajmniej syknął z bólu, tym razem nie czuł go wcale.

Zrobiło mu się gorąco i nie ochłodził natychmiast, ale jakieś trwałe ciepło wstąpiło w niego.

— Co za szczęście! — zawołał — żebym o krok postąpił dalej, byłbym zginął na miejscu!

Rozpogodziła się jego twarz, zapomniał o zawieszonych nadziejach, o odmówionej posadzie, o niepewności jutra, o bólu zęba.

Cieszył się.

Pobiegł do domu, opowiedział żonie i dzieciom co zaszło, żona przestała narzekać i rzuciła mu się w objęcia rozpromieniona.

— Byłabym cię straciła! — mówiła zalewając się łzami radości.

Dzieci klaskaly w ręce i skakały:

— Tato ocalał! tatko nie się nie stało!...

W tej chwili zapukano do drzwi. Był to stróż obchodzący lokatorów po koledzie.

W każdym innym razie przyjąłoby go z kwaśną miną. Teraz pani Arkadiuszowa wesela i ucieczona, sięgnęła do woreczka i bez najmniejszego żalu wsunęła mu w rękę dwuzłotówkę...

— Macie Wojciechu, cieszcie się z nami! Spotkało nas wielkie szczęście!

Jakie szczęście? List z pieniędzmi nie przyszedł, loteria nie dopisała, posady nie było, nawet zab para Arkadiusza boleć nie przestał. Nie stało się zupełnie nic, bo czy bryła spadła o krok przed panem Arkadiuszem, czy o dziesięć ulic od niego, to przecież całkiem wszystko jedno, skoro mu nie spadła na głowę.

A jednak było to szczęście, które, jak widzimy, niekoniecznie potrzebuje być czemś dodatniem i konkretnem.

Stróż Wojciech wysłuchał opowiadania o szczęściu pana Arkadiusza, schował dwuzłotówkę i wyszedł.

Nie poszedł dalej po koledzie, lecz udał się na dół po łopatę, ażeby sprawić pogrzeb bryle-pocieszycielce.

Obowiązek przedewszystkiem... zwłaszcza, gdy jego dopełnienia pilnuje stójkowy...

Uzbroiwszy się w łopatę Wojciech wyszedł przed dom, a gdy ujrzał straszny nieporządek na chodniku, niepomyślnie dwuzłotówki, którą spadłej bryle zawdzięczał, zaklął straszliwie.

— A bodaj cię wszystkie jasności i siarzystości!

Biedna bryła pocieszycielka!... ona myślała, że wdzięczna ludzkość błogosławić będzie jej pamięć.

A jednak gdyby stróż, który w tej chwili sprawiał pogrzeb bryle śniegu, miał pogląd filozoficzny grabarza z „Hamleta“, ilczyby pięknych myśli mógł wypowiedzieć nad jej grobem!...

Wł. S.

Z bruku.

Brrm! jakże wietrzno, zimno, pochmurno!

Tak samo było wczoraj, pewnie i jutro nie będzie inaczej; jak zwykle u nas w pierwsze słotne dni zimy.

Po mieście przejeżdżają zakryte powozy i dorożki, śpieszą gdzieś czarne tłumy zabłoconych, zziębniętych. Kto może — grzeje się i tuli w puszyste futro.

Przez jedną z ulic biedne młode dziewczętko biegnie szybko, nie zważając na jaskrawe wystawy sklepów, na stroje kobiet, na cierpkie żarty, jakie mi zaczęły się przed chwilą golowały jakiś szlifbruk. Widocznie, pilno jej bardzo, pilno i — zimno. Wiatr bowiem ostry, północny, trzęsie nią niełitościwie, gryząc po czerwieniach uszka i szczypiąc po bazi wybladłej.

Biedna Hela!...

Kusy, cienki paltocik i mały, letni kapelusik nie mogą jej obronić, a zabiegi drobnych, posiniąłych rączek niewiele też pomogą. Wiatr silniejszy od Heli, nawet na lzy nie zważa.

A to błoto nieczyste! Hela ma podarte buciki! Ale „pierwszy“ niedługo. Może choć w tym mieście u w terminie za lekcje zapłaca. Co pierwszej kupię — kalosze, czy może buciki?... Kalosze tańsze, na buciki może nie wystarczą, a miećby je rada takie zgrabne, wysokie, ciepłe... na flaneli...

Hela ma je przed oczyma i biegnie tak dalej a dalej, na jedną z najbrudniejszych ulic, do starej, poczerwiałej kamienicy. Stała wreszcie przed nią, znika w bramie i, dysząc, śpieszy na górę po ciemnych, obłożonych wschodach...

Jakże wysoko!

Hela zatrzymuje się tam przed jakimiś drzwiami i otwiera je nieśmiało. Musi przechodzić przez

kuchnię, gdzie jak zwykle, czeka ją zaraz nieciekawe spotkanie.

Grzeje się oto przy kominie i zmywając garnki, stoi na wysokich, pokrzywionych obcasach jakiś nadęty brudas w olbrzymim koku i pretensjonalnej „szukni“.

Gdy Hela weszła, brudas ten odwraca się ku niej i spoglądając drwiąco na zabłocone, podarte buciki, mruczy złośliwa.

— I znowu bez kaloszów! Znowu czeka chrośrowanie na psza pudzie! A niech to głoś kopnie takie roboty!

Hela nie odpowiada, idzie dalej do przyległego pokoju, gdzie znajduje się nagle wśród przenikliwego pisku i hałasu kilkorga rozkrzyczanych dzieciaków.

Ot właśnie pękaty Maciuś macha zapamiętałe liniję i gania do upadłego uciekającą przed nim wokół stołu cienką, rozchichotaną Fruzję, przewrócił krzesło, kalamarz, lampa o mało nie spadła. Tam znowu niezgrabny Frycuś dał kulaka pyzatemu Prosiowi i zmyka pod stół, zawzięty Proś w to pędy za Frycusem, szamocząc się i borykając pod stołem. Na ziemi zaś, przy piecu, leży rozciągnięta zabrudzona Wronia i, wzeszcząc co sił starczy, wali o podłogę rękami i nogami.

Hela prosi, grozi, strofuje — wszystko napróżno. Hałas i przeraźliwe krzyki wzmagają się coraz bardziej.

Aż nareszcie bocznymi drzwiami wpada z pasją i trzaskiem jakaś przysadzista roznegliżowana jejmość: Fruzję za uszy, Maciusia po karku, Wronię nogą. Wszystko ścichło nagle — jakby makiem zasiał.

— Że też panna nawet z głupiemi dzieciakami radzić sobie nie umiesz — docina Heli zasapana jejmość. — Mało sobie łbów nie poobrywają, a panna jak małowana! Oo — ale pieniądze brać się umi.

Nie tłumaczy się Hela, spuściła oczy i stoi pomieszana. Boi się narazić, mogłaby lekcje stracić... o inne tak trudno...

A buciki?...

Leopold Świdorski.

Aforyzmy ekonomiczne.

Kraj nasz tem się różni pod względem ekonomicznym od reszty społeczeństw zachodniej Europy, iż w rozwoju swoim nie wszedł jeszcze w fazę kapitalu; nasze zasoby są bardzo skromne, to też jako skuteczny środek na dotkliwy brak sił uważać należy przedewszystkiem formę produkcji asocjacyjną.

Nie każdy kredyt oddziaływa dodatnio na rolnictwo, a głównie nie łatwy tylko; jedynie kredyt długoterminowy, amortyzacyjny może pobudzić drzemającą dziś siłę drobnych gospodarstw włościańskich.

Forma drobnej własności gruntowej może nie dorównywać sile wytwórczej wielkich folwarków, może stoi od nich niżej pod każdym względem, zawsze jednak zabezpiecza dobrobyt mas, będący główną podstawą rozwoju społecznego.

Wszechstronne wyzyskiwanie naturalnych bogactw kraju — oto racjonalna podstawa przetwórstwa, zapewniająca mu trwałe byt i stały postęp.

Przemysł nasz nie osiągnął jeszcze pożądanego stopnia zdemokratyzowania. Posiadamy wyroby wykwiutne a drogie, oraz lichy a tanie. Brak nam tej formy pośredniej, jaka świadczy o wzrastającej zamożności.

Trudniej jest zachować przez czas dłuższy wielki kapitał w nienaruszonej całości, niż drobny uruchomić i powiększyć.

W dzisiejszych warunkach przyspieszonego rozwoju główną dźwignią przemysłu może być tylko stały i racjonalny postęp we wszystkich gałęziach produkcji.

Z chwilą upadku jarmarków, będących dawniej głównym ogniskiem handlu, szybki rozwój stosunków ekonomicznych wskazuje nową formę handlu — wystawy rolnicze w połączeniu z targiem inwentarza, oraz wystawy przemysłowe.

Stosunki handlowe nie nadają się do częstych reform prawodawczych; hołdują one tradycji, naturalnie o tyle, o ile potrzeby nowe nie wymagają pewnych, słabszych lub radykalniejszych ustępstw od utartych norm.

Warunki bytu ekonomicznego i politycznego są identyczne (Cavour).

Wandalin.

ZAKŁAD.

HUMORESKA Z REKAWA.

Niebo, ziemia i wszystkie żywy na niej, przyjaciele i przyjaciółki, z prawej i lewej strony, a szczególnie te ostatnie, postawiły mi rok temu w takim położeniu, że trzeba się było ożenić.

Przyznaję, że najbardziej dokuczyły mi niebo i ziemia. Niebem dla mnie był stryj, kanouik, proboszcz z Kobyłowa, zacna, światobliwa dusza — ale nudny i uparty, niech Bóg broni; — ziemią, i to naszą pocziwą galicyjską, kochany Tantes, właściciel trzech realności w Lwowie, dziedzic dobrowoziemskich i posesor kilkunastu moich weksli, które spłacać miałem ratami, a tu nie było czem. Obsiedlił mi tedy wszyscy jak muchy plaster miodu i wołają różnemi głosy: „Kaziu żeń się, zmiluj się panie Kazimierzu, już raz się ożeń, dlaczego pan Kazimierz, nie myśli się ożenić. — Ja ci mówię — decyduje brat starszy — że koniecznie musisz się ożenić!“

Łatwo zrozumieć, iż wobec tej małżeńskie naganki — zdurzałem, straciłem poczucie osobistej woli — jednym słowem, zgłupiałem, jak to się wielu wybierającym do stanu małżeńskiego przytrafia. Tę jednak przy tem wszystkim zostało mi instynktu zachowawczego, żem się zdobył na stawianie pewnych warunków.

— Dobrze moi drodzy, kiedy już tak powiadacie, to się nareszcie ożenię, ale z kim?

— My ci znajdziemy — powiada ksiądz stryj. — Bogobojnych niewiast w kraju naszym nie brak.

Jakkolwiek bogobojność u cudzych niewiast dotąd nie bardzo mi smakowała, to względem mojej przyszłej, warunek ten doś mi się podobał.

— No — mówię już z westchnieniem — zgoda; tylko, żeby przynajmniej coś miała... Wicie w jakim położeniu jestem, prawie bez wyjścia...

Tu nastąpiła szeroka i długa przerwa ze strony proboszcza, jak to źle młodzi robią, wdają się z różnego rodzaju osobkami, będącymi zakalą społeczeństwa, które wysysają z nich mienie i zdrowie, niszczą ambicję, prowadząc duszę na zatracenie wieczne, a dla familji wstyd i zgryzoty.

— Wszystko to — przerywam księdzu kanonikowi — mówię za tem, żeby coś miała...

— A naturalnie — odpowiada wzdychając — trzeba żeby coś miała...

— Wicie — rzecze na to brat, uderzając się w czoło — ja mam taką. Gotówki zaraz może niewiele dadzą, ale mają wieś jedną tu, drugą na Podolu. Familja dobra i zacna, hrabianka...

— Dziękuję uniżenie — przerywam poczynszy nic — jaki grunt do oporu. — Z przekonania jestem demokratą i z żadnymi hrabiami, hrabiami i hrabiankami nie chcę mieć do czynienia.

Stryj kanonik uśmiechnął się i ręce zatarł; widocznie mój demokratyzm przypadł mu do smaku, myślę sobie tedy: zaczęną ja skakać na owym koniu, a może stryjaszek zdecyduje się dać dwa tysiące Tantesowi, z którymi siedzi mi jak zły duch na karku, a tym sposobem i żeniaczka się odwlece.

— To widzisz — uspokaja brat — taka sobie hrabianka po kądzieli, z matki. Ojciec nie żaden hrabia, dobry zamożny szlachcic, a że go przez grzeszność nazywają hrabią, co to komu szkodzi. Ja do brze żyję z niemi, moja żona nawet się przyjaźni i kobiety z sobą ty a ty, więc gdybyś tak przyjechał do nas na święta, pogadali byśmy obszernie, ułożyli plan i sądę, toby się udało.

Spojrzałem na kanonika — widzę zamyślił się, chodzi po pokoju, brwiami rusza, głową kręci i coś waży...

— Ha, spróbujcie! — odzywa się zatrzymując przedemną. — I ja tę rodzinę znam; matka trochę zadziera nosa, lecz, że gromada dzieci, córek dorosłych podobno trzy...

— Pięć — wtrąca brat.

— Jezus Marja, aż pięć! — wyrwało się mi.

— Pięć — powtarza kanonik — to dobrze, mogą ci dać najstarszą Sabinę; gniazde ujdzie, on trochę fanfaron, ale co tam...

— Zwykle dają wieczór na Sylwestra. pojedziemy — prowadzi swoje brat — przedstawie ci, a żona tego, uważasz, wymaca starą...

— Dobrze, dobrze, niech wymaca — powtarza bezmyślnie kanonik.

— Bóje się Boga — rzeknę i ja zdesperowany — ależ między pięcioma dorosłymi pannami jak tu się zdecydować?

— Asan jesteś głupi — fuknie ksiądz, chwytając mię za kłapę surduta — w porządnym domu szlachecim wcale się nie wybiera, najstarsza idzie za mąż naprzód... Jechać na święta, jechać, niema co...

Zrobiło się ze mną jak mówią „zdechł pies”. — Ani w prawo, ani w lewo, tylko panie dobrodziejku położyć uszy po sobie i westchnąć, dziej się wola boża. Bez przesady mówiąc, leżałem wobec okoliczności kompletnie zmaltretowany i przygnieciony niby ten gad pod obcasem. A jednak wspomnienia złotej swobody nie dawały mi spokoju, siła życia wydobywała się jeszcze i z pod obcasu, instynkt zachowawczy chwycił ostatnią linę z okrętu... Po długiej pauzie milczenia odzywam się dalej:

— Moi kochani, wdzięczny wam jestem za troskliwość o mój los i przyszłość, wszelako darujcie, nie mogę poddać się tak bez pardonu.

— No, a o co idzie? — mówi brat zdziwiony.

— Kazimierz — dodaje z powagą kanonik, podnosząc ku memu czołu dwa palce prawej ręki, — dałeś słowo, że pójdziesz za naszą radą i powinieneś dotrzymać.

— Dotrzymam, dalibóg chcę dotrzymać, ożenię się, tylko tą, którą mi przeznaczą, musi mi się podobać.

Oprawcy mej wolności spojrzeli po sobie; warunek mój wydał im się propozycją Twardowskiego, uczynioną lucyferowi w balladzie. Czuli, że tu może pęknąć moc czartowska, a ja czmychnąć dziurką od klucza.

— Mój drogi — zaczyna brat z pewnem namaszczaniem, tłumacząc mi racjonalnie, że wszelka powierzchowność osoby jest tylko suknią pokrywającą duszę, — że miej serce i patrzaj w serce, lecz nad mój podziw, kanonik mu przerywał.

— Niech on powie jaki ma gust?

— Co tam gust... Oto aby nie była stara, ułomna, wstrętna...

— Swoją drogą powiedz ty Kaziu.

Przyznaję, że nie byłem przygotowany do natychmiastowego sformułowania swego gustu, ale jak człowiek zmuszony chwycić się brzytwy, recytuję bez namysłu:

— Blondynka, nie starsza nad dwadzieścia pięć lat, średniego wzrostu, kształtna, cery świeżej, niebieskie oczy duże... konieczne duże...

Patrzę, braciшек mój niecierpliwi się i ręką trzepie w powietrzu, a księdzu przeciwnie tylko oczy się śmieją, głowa potakuje, ręce idą w pierniczek, przyczem wielkimi krokami mierzy pokój tu i tam.

— Głupstwa ci się plotą! — ofuknie brat. — Udajesz młodzika i poetę, a tu blisko czterdziestka, lysina, siwizna i tym podobne przypadłości starokawalerskie. Co tu się bawisz w romanse. Zna dla ciebie to port! — krzyknie już rozniewany. — Rozumiesz port, wygodny, bezpieczny, bez wiatrów...

A niechże go djabli wezmą! — pomyślałem w tej chwili. — Cóż on mi ma już za starą arkę czy co... bez wiatrów nawet... zwarjował... Właśnie ja chcę wiatrów i kwita... dziękuję za twój port wygodny... I taka miłość porwała, że gotów byłem podziękować całemu światu za wszelką opiekę i ożenić się z Wikтусią, magazynierką od pani Kłopsowej, aby im wszystkim na złość zrobić.

Szczęściem dla mnie, że kanonik posiada nierównie więcej pobłażania i taktu dla słabości ludzkich, niż brat mój powodzeniem ozuchwalony szlachcie, który wszelkie sercowe zachcenia przy interesach, bez ceremonji na bok odkłada. Wystąpiwszy tedy z perswazją, cokolwiek mi umitygował i rzecz sprowadził na pole kompromisarskie. Targowaliśmy się zajądło o kaźden przymiot mojej przyszłej i w końcu ustąpiłem na punkcie włosów, żeby niekoniecznie miały być jasne, ale z oczami szafirowymi utrzymałem się stanowczo. Przy rozprawie takiej, miałem jedyną satysfakcję widzieć pogniwanych między sobą kuratorów. Brat zanadto chciał być arbitralnym na punkcie owych oczów, ale kanonik stanowczo był za mną.

— Więcej róbcie sami co chcecie! — zawołał braciшек. — Ja zrobiłem swoje! Chcesz przyjeżdż na święta; nie chcesz, to nie przyjeżdżaj, tylko mi więcej sprawami swojemi nie zaprzataj, dosyć mam własnych... Powiadam ci tylko, że hrabianka ma czarne oczy jak węgiel, bystre, inteligentne, choć nie takie wielkie jak wołowe, których wmagasz... Fe, wstydy się, nie sądziłem żeś taki idealista i dziecinny!

Do świąt było dwa tygodnie jeszcze, więc rozważywszy okoliczności wszelkie za i przeciw, cokolwiek spuściłem z pierwiastkowych warunków. Czarne oczy, aby nie brzydkie i nie okragłe jak u ptaka — ująd, tylko panie dobrodziejku, musi być kształtna. Nawet, po bliższej rozwadze i owe hrabstwo nie wydało się tak rażącym: jużież przyjemniej mieć żonę z hrabiów niż na przykład z rzeźników; — dlatego też uzbrojony w cały arsenał specyfików mody, wybrałem się na Boże Narodzenie do kanonika, z kąd miałem pojechać dalej na wieś do brata i do hrabianki.

Kobyłów, rezydencja stryja, jest sobie małą mie-

sciną w obliczu takiego Lwowa, ale znów jako probostwo, rzecz kapitalna. I gdyby stryj chciał zrobić mnie sukcesorem swojej prebendy, skwitowałbym ze wszystkich nawet po mieczu hrabianek. Przyszła wigilia. W takim Kobyłowie to już feta od samego rana i ja też chcąc nie chcąc musiałem towarzyszyć kanonikowi po wszystkich jego znajomych na opłatek. Ba, żeby to kończyło się na opłatek! Ale po opłatku zwykle szły nalewki i różne domowe preparaty spirytualne, które pocziwi obywatele Kobyłowa nie tylko sami piją z animuszem, ale jeszcze zmuszają gości, żeby się tem delektowali. Nie było co robić — piłem, a w głowie zaczęło mi szmierać, zacierając wszelkie utrapienia, z którymi jechałem na wyszukanie małżonki. I lepiej, myślę sobie, zaleję robaka, trzeba korzystać z tych kilku dni swobody.

Na obiad sam byliśmy zaproszeni do państwa sekretarstwa magistratu, których dom znałem już dawniej, bywając w Kobyłowie u księdza kuzyna. Zasiadliśmy tedy w osób kilkanaście, wszyscy w humorze wybornym, albowiem sam gospodarz jest nadzwyczaj wesół, a pani, kobieta jeszcze nieczego, taka uprzejma i gościnna, że choćby człowiek już trzy dni przedtem jadł z rzędu, to tu musi jeść czwartą.

Posadzono mnie obok najstarszej córki gospodarstwa, panny Łodzi, którą także znałem kiedyś małym dziewczęciem, żywym, zawsze brudnym i rozczochranym. Teraz musiała wyglądać inaczej, bo chociaż jej się nie przypatrywałem bliżej, jednak sąsiedztwo nie razilo. Pamiętam tylko, że była haniebnie ubrana, w jakiejś niebieskiej sukni przedpotopowego kroju i że miała długie loki po bokach twarzy, i temi, przekraczając wciąż głowę, muskała mnie po nosie. Sekretarz dał wino dobre, podejrzewam że to z piwnicy stryja dobrodzieja, więc ciągnęliśmy sobie szczęśliwie kieliszek za kieliszkiem, skutkiem czego napadła mnie szczególniejsza ochota bawienia najbliższej sąsiadki. Po trzeźwemu może bym nie potrafił, bo o czem tu rozmawiać z taką parafalną gaską z Kobyłowa, ale jak w głowie tyle od rana pomieszanych napitków szumiało, człowiek lubi szarżować. Zaczęliśmy się tedy sprzeczać, ile osób siedzi przy stole. Łodzia powiada dwanaście, a ja że jedenaście.

— No, załóżmy się!

— Dobrze, załóżmy się.

— O co?

— Jeżeli przegram — mówi śmiejąc się dziewczyna — to panu kupię pudełko papierosów.

— Dziękuję, co mi to za zakład! Ja chcę żeby mi pani ofiarowała coś ze swej osobistej pracy.

— Dobrze, sakiwek...

— Nie, teraz sakiwek nie używają... Zrobi mi pani... zrobi mi pani...

— Pantofle! — wtrąca śmiejąc się kanonik, który niby to nie słuchał o co się targujemy, a wiedział o co idzie.

— Dobrze, wyhaftuję pantofle, czy zgoda?

— Ja, widzi panna Leokadja — mówię rozochocony patrząc w ożywioną twarz dziewczęcia — ja się namyśle.

— Tak nie można, trzeba powiedzieć.

— Właśnie, nasz zakład musi być całkiem oryginalny. Otóż ja pani powiem, że kto z nas wygra, to wtedy postawi żądanie...

— Całuję rączki za taki warunek! A jak pan zażąda tego, co ja nie mam albo nie mogę?

— Pod tym względem niech mi pani zaufa... No zgoda?

Wahała się i troszkę kłopotala patrząc mi bystro w oczy, ale wreszcie — przystała.

Zaczęliśmy tedy rachować osoby, co nie szło tak łatwo, bo dzieci sekretarza nieustannie wstawaly i kręciły się tu i tam. Liczymy raz, jest dwanaście i już Łodzia zaczyna klaskać w ręce z radości, gdy sprawdziłmy tę liczbę po raz drugi — wychodzi tylko jedenaście. Spór nasz i rachunek zwraca uwagę innych, mięszają się do nas, zamykają drzwi, żeby nikt nie wchodził, i pokazują się w rezultacie że osób jest tylko jedenaście.

— Wygrał pan — mówi zakłopotana dziewczyna, podnosząc na mnie szafirowe oczy, gdy pous ognisty okrywa jej twarzyczkę.

Dalibóg, w tej chwili spostrzegłem dopiero, że ma tak piękne i duże a wyraziste oczy, jakie właśnie stawałem opiekunem moim za warunek. Co mi się zrobiło po takim odkryciu, — to rzeczywiście nie jestem w stanie zdać sobie z tego sprawy, — coś jakby rozbudził się apetyt fałszywy na koralowe usteczka Łodzi, czy też coś nieokreślenie przyjemnego, co nie da się ująć ani w słowa, a nawet sformułować w myśli. Poczulem się naprawdę pijanym, tylko nie w ten sposób, jak się to zdarza przy toastach...

— No — mówię ciszej rozkoszując się zakłopotaniem panienki — a co teraz będzie z zakładem naszym?

— Bo ja wiem...

— Jak się też pani zdaje, co ja mogę żądać?

— Bo ja wiem — odpowiada zalekniona — spodziewam się nie takiego, czegobym nie mogła ofiarować.

— A co też pani może? — atakuję z zapalem nie zważając, że ktoś weiska mi kieliszek do ręki wzywając do toastu.

— Cóż ja mam do dania panu, ja biedna dziewczyna z prowincji?

— Chyba jedno serduszko, prawda? — wyrzywa mi się niechcący. — I gdybym...

— Nie, nie, nie, bardzo przepraszam! — zawoła zrywając się z krzesła i dalej do drugiego pokoju, gdy ja nie wiele myśląc za nią.

— Proszę, daj mi pan pokój, bardzo proszę! — wola opędzając się mej natarczywości.

— Panno Leokadjo, ja na serjo proszę o to serduszko...

Zatrzymała się, spojrziała przestraszona i oczy spuściła, nie wiedząc co z sobą zrobić.

— Jeżeli zgoda, proszę podaj mi pani rączkę — wyrzekłem cały dygotając z szalu, niepewności i wzruszenia.

Stała jeszcze chwilę milcząca, a ja myślałem że padną nieżywy u jej stóp. Nareszcie widzę, oddziela się powoli rączka jej od sukni, wysuwa naprzód i spotyka moją...

— Więc pani się zgadza! — zawołałem cisnąc do spiekłych ust tę delikatną rączkę.

— Nieznośny pan jesteś! — mówi jakby zadyszana. — Jakże tak można... Nie cierpię pana za to...

Albo rączka pozostała w moich dłoniach i dopiero gdy ktoś z domowników wszedł do tego pokoju, Łodzia frunęła jak ptaszek.

Nie wiem już jak i kiedy po owej wilji znalazłem się ze stryjem kanonikiem na plebanji, gdzie dopiero opanował mię strach prawdziwy. Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem — powtarzałem sobie, gdy ksiądz odmawiał pacierze. Ha, raz kozie śmierć, myślę sobie i dalejże na spowiedź do niego.

— Stryju, zrobiłem szaleństwo.

— No.

— Oświadczyłem się Leokadji.

— Kiedy?

— Dziś, najformalniej i proszę stryja kanonika o błogosławieństwo.

— A wiesz ty Kazimierzu, że to panienka biedna, ojciec ma 600 reńskich pensji, oni ci nie dać nie mogą... a twoje długi?

— Niech się dzieje co chce, ona mi się podoba i z nią tylko mogę być szczęśliwy. Żeby tylko tego Tantesa jako zaspokoić, ale zresztą...

— No, no mój drogi — rzecze kanonik przygarbiając mię do swych piersi — niech ci Bóg błogosławi, ja nigdy o twej zacności nie wątpię. Zrobiłeś dobrze, pocziwie to dziewczę i bogobojne. A z Tantesem jakoś to będzie. Miłosierny Bóg więcej ma niż rozdał. Trzeba napisać do brata że nie przyjeżdżasz, co?

— Naturalnie, siadam i piszę. Sercem nie wypada kramarzyć choćby i dla hrabianki, Bóg z nią!

— Otóż to stało się wedle przysłowia — mówi kanonik zacierając ręce — chłop strzela, ale Pan Bóg kule nosi...

A. Wilczyński.

1882.

Skończył się!

Ani on był lepszym, ani gorszym od szeregu poprzedzających. Nie rozwiązał żadnego z większych zadań dziejowych, nie dokonał rdzenniejszych przekształceń ducha społecznego, nie zaspokoił głodu niezadowolonej z siebie ludzkości... Włókł się po wybojach i wadłach, które wieki wyżyłoby i dobrze — że w nich nie ugrzązł...

Rok ten nie posiał na obszarach politycznych ani społecznych zadań nowej, twórczej idei; uosobienie miernoty i niemocy, patrzył z apatyczną rezygnacją, jak choroby niedzisiejsze wzmagały się, a rany niezabliźnione ropiły... Widział na trzęsawiskach błędne ogniki i ludził się, że to zorze poranne; widział zaspione i rozpaczliwe wejrzenia jednostek i narodów, i mniemał, że to kaprysy i nerwy; obaczył sunącą się groźnie i pożądliwie marę socjalnej anarchji i uznał się wobec niej bezwładnym; szukał szabły, a nie umiał jej wydobyć tam nawet, gdzie bożek XIX-go wieku, interes, tego wymagał.

Historja nie zwiąże z pamięcią roku 1882 ani wielkiego faktu, ani wielkiej myśli, ani wielkiego człowieka. Ten rok tak był pospolitym, że nawet garstka prawdziwie wielkich starców, która kieruje dotąd rydwanem politycznym świata, a dźwiga po siedm krzyżyków na krzepkich ramionach, nie raczyła upamiętnić go zgonem choćby jednego ze „swoich”. Nie jest to zresztą wina zgasłego roku i

owszem, jedna z nielicznych może jego zasług, a w każdym razie rys charakterystyczny.

A jednak bezpłodnie i bezpotomnie z widowni historycznej on nie zejdzie. Nie umiał być rodzicem, ale przyłożył się do wychowania cudzych dzieci. Kolebka tych dzieci już niedzisiejsza; jedne liczą swój żywot na dziesiątki lat, inne są jeszcze starsze, ale na rok ubiegły przypada okres ich dojrzewania. Kto patrzył na fizjognomję ich przed rokiem i patrzy dzisiaj, ten dojrzy na niej widocznych śladów rozwinięcia. Może nie jutro już wylecą z gniazda te orły, może nie jutro zakraczą te czarne kruki, które w tym roku z pisklat przedzierzgnęły się w rosłe ptactwo, ale gdyby wygładzić z tablicy ich żywota rok miniony, toby w rozwoju ich sił brakło pewnej fazy, pewnego logicznego związku.

Duch anarchji społecznej, który podjął ciężkie zadanie obalić wszystkie formy bytu towarzyskiego i politycznego — a nie miał sam dotąd formy, zaczyna ją sobie wytwarzać. Tylko, że nie będzie to forma organiczna, bo duch ten jest przeciwnikiem pojęcia organizmu. Stary porządek świata wydaje mu się dlatego właśnie chorym, wstępnym i niemoralnym, ponieważ ma pozory porządku. Są myśliciele utopiści, są ludzie radykalnego czynu, którym znudził się już ten zgrzybiały i wywiedły staruszek: *porządek*, i pragną poprobować, jakby to się żyło na najlepszym ze światów — w chaosie... I to będzie *forma* tego ruchu, który się wzmacnia, szerzy i coraz większym zuchwalstwem zbroi. Tym zawadzają krzyże, tamtych fabryki, jeszcze innym legitymizm tronów — wszystkim zawadza to, co jest, i pragną — na razie przynajmniej — ażeby z tego wszystkiego nie zostało...

Revolucja r. 1789-go stworzyła stan trzeci; według rozumowania anarchistów, przyszła, ogólna, międzynarodowa rewolucja musi wytworzyć epokę stanu czwartego, a jak się uda, i piątego. Jest źle — to pewna. Przemysł fabryczny zabija pracę indywidualną, a jednostkę, świadomą swej woli i swobody przyrodzonej, przekształca w bierną maszynę. Rękodzieła upadły, bo pracę igły i dłutka zastąpiły dynamy i sapiące lewiatany. Współzawodnictwo kapitału z ziemią przysparza pierwszemu szybkich tryumfów... To są prawie pewniki, prawie rzeczywiste choroby, ale na nie lekarstwo powinno znaleźć się w społeczeństwie dzisiejszem, a nie po za niem, nie na ruinach jego... I dla tego ubolewać należy, że pomimo wszechwładzy nieomal ducha demokracji w czasach dzisiejszych, parlamenty europejskie mniejszą zdradzają ochotę do podjęcia rozbioru tych kwestyj i zapobieżenia grożącym kataklizmom, aniżeli rządy same, te uosobienia pierwiastku zachowawczego. Świadkiem przebieg zeszłorocznej parlamentarnej działalności w Niemczech i Austrii, gdzie nie Virchovy, Richtery i Herbsty, ale hr. Bismark i hr. Taaffe, występują z projektami poprawy losu robotników fabrycznych i wiejskich, tudzież obrony rękodzielnictwa i drobnego przemysłu przed potęgą wielkich fabryk i wielkiego kapitału obrotowego.

Przed natarciem idei skrajnych i radykalnych bronią się warownie zachowawcze i odkrywają w sobie zasoby energii, o których może same nie miały dobrego pojęcia. Odradza się niejedyn czynnik, w którego zaumarcie błędnie i przedwcześnie wierzone. Ponieważ kreśliły tylko sylwetki roku 1882, nie będzie od rzeczy zauważyć, że rok ten rozpoczął się we Francji radykalizmem politycznym p. Gambetty i ateizmem religijnym p. Pawła Berta, a zatem żądzą przymuszenia ludności katolickiej do wyrzeczenia się edukacji, uwzględniającej czynniki wiary i cierpiącej godło Chrystusa w izbie szkolnej, — a skończył umiarkowaniem, uznaniem swobodę sumienia w rzeczach religijnych, uosobioną w gabinecie p. Duclerca i jego ministrze oświaty panu Davaux. Ten ostatni przed kilku zaledwo tygodniami oświadczył w izbie deputowanych, że prefekt jego otrzymał rozkaz uwzględniania życzeń ludności katolickiej, ażeby godło krzyża, *godło chrystjanizmu*, pozostało w izbach szkolnych. Epoka terroryzmu w rzeczach sumienia zdaje się przeto przesłać w najradykalniejszym ze społeczeństw, a zdobywa sobie napowrót uznanie prawda, że światło ma tak olbrzymią siłę atrakcyjną w sobie, iż nie godzi mu się uciekać do prawa pięści, — że siła postąpowej cywilizacji tkwi w przekonaniu a nie w szarpaniu za włosy, — że nareszcie pozabawiać ideałów wiary człowieka, który w niej posiada jedyną dotąd busolę życia moralnego a nie poznał jeszcze ideałów cywilizacji — jest zbrodnią...

Potrzeba też było aż ostatecznego wyuzdania się ducha anarchji społecznej, ażeby nakłonić rządy europejskie do ponownego zbliżenia się ku Stolicy apostolskiej. Francuska izba deputowanych, złożona z uosobień radykalnych, odrzuca ogromną większością wniosek zniesienia poselstwa francuskiego przy Watykanie; książę Bismarck umieszcza tam znowu swojego przedstawiciela; nawet Anglja

nawołuje ponownie nici związku z Rzymem, pomimo, że anglikańska hierarchja, patrząc na stopniowy upadek i rozkład własny, woła rozpaczliwie na Gladstone'a, „że kopie grób pod kościołem narodowym“, inne nareszcie mocarstwa zbliżają się w tych samych widokach i z tych samych pobudek do „bezsilnego“ wyobraźnieli siły moralnej, potężniejszej może od chwili, gdy przestała się porać około kłopotliwych spraw rządu świeckiego. Cobykolwiek racjonalizm wieku sądził o genezie prawd etycznych, które Watykan wyobraża, nie będzie nikt tyle zaślepionym i brutalnym, ażeby im odmówił charakteru *prawd istotnych*, żywotnych, twórczych dla życia moralnego, fundamentalnych dla idei rodziny i społeczeństwa. To nie nie przeszkadza nauce ani zdrowemu postępowi, jeżeli się je wiąże z wielką zachowawczą siłą chrystjanizmu...

Najświeższą spuścizną ubiegłego roku jest ów tumult wojenny, jaki zawrzał przed kilku tygodniami i naruszył głęboko spokój umysłów w Europie. Co o nim sądzić? pytają zewsząd. Dokąd idziemy? zapytać musi każdy, kto czuje i myśli, kto ma coś do ustrzeżenia przed pożogą, lub do odszukania jakichś pierwiastków nowego bytu w nagromadzonych przez wojnę zgłiszczach. Nie pora byłaby dzisiaj na optymizm: nie dla krótkowidli poważni i o materialne interesy własnych społeczeństw dbali przedewszystkiem mężowie stanu wywijają płonącymi żagwiami po widnokręgu politycznym.

Wiek nasz powtarza dawny wzór wojen rasowych. Rok 1870-ty był takim historycznym pojedyńkiem rasy romańskiej z germańską. Inny pojedynek wywiązać się musi: żywiołami boju przesycone jest powietrze, którem oddychamy. Do wielkich zazdrości i ambicji rasowych, które stanowią źródło i złowrogą rękomię grożących zapasów, przybysza zresztą czynnik czysto już polityczny: potrzeba mocarstwowego rozprężenia się. Wojna r. 1878-go niczego nie załatwiła stanowczo: traktat berliński wytworzył na półwyspie Bałkańskim szeregi pseudoorganizmów, które skończyłyby musiały na anemję, gdyby logiczny rozwój wypadków nie poprawił i nie uzupełnił w przyszłości poronionego i sztucznie skomplikowanego wytworu dyplomatów.

Rzucenie Austrii w odmęt prądów bałkańskich było już zapowiedzią nieomylną przyszłych burz. Rosja od tak dawna uważa za dogmat polityczne swoje posłannictwo na wschodzie, tyle interesów prze ją ku Bosforowi, że niepodobna było ani przez chwilę ludzić się, ażeby zagarnięcie przez Austrię Bośni i Hercegowiny i zbliżenie jej tem samem ku Stambułowi nie wytworzyło współzawodnictwa pomiędzy obu mocarstwami. Słowiańska Austrija jest niewygodna dla Rosji tak samo, jak Austrija niemiecka niewygodna była dla Prus. Tę ostatnią „niewygodę“ usunął w r. 1866-ym ks. Bismarck na pobojowisku Sadowy. Na usunięcie innej „niewygody“ zdaje się przychodzić kolej. Ażeby oszczędzić starej monarchji Habsburgów przykrości drugiej Sadowy, sprzymierzył się z nią książę Bismarck który woli na półwyspie Bałkańskim patrzeć na gospodarstwo munduru austriackiego, niż rosyjskiego.

Wojna jest nieszczęściem, ale bywa częstokroć lepszą, niż zgnily pokój. Niepodobna bez wewnętrznego niepokoju czekać na zbliżenie się tajemniczego huraganu. Straszny on jest z natury swojej, ale oczyszcza i zmywa grunt.

Częstokroć po takim splukaniu gleby u powierzchni, archeolog odnajdywa jakiś potrójną warstwą przysypany szczątkami przeszłości, jakiś kęs niepolknięty przez czasy, jakiś materiał, który w dłoni pracowitego i przezornego robotnika może posłużyć do nowego wyrobu, zdolnego kształtem i ceną współzawodniczyć z wyrobami, noszącymi uprawniony stempel dzisiejszy...

Bronisław Zawadzki.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Nakład Kurjera Warszawskiego wynosi 21.000 egzemplarzy; Pismo to drukowane jest na dwóch pośpiesznych maszynach, jedna z tych maszyn, gdy jest w ruchu, sama może odbić 10.000 arkuszy na godzinę, druga w tym samym przeciągu czasu odbija 8.000; obiedwie zaś maszyny puszczane razem odbijają w tymże czasie tylko 15.000 arkuszy. Obliczyć ile potrzeba czasu do wydrukowania arkusza papieru na cały nakład w tym wypadku, kiedy w pierwszej maszynie papier rozrywa się co kwadrans i maszyna wskutek tego nie jest czynną za każdym razem w ciągu minut 5, w drugiej zaś maszynie papier rozrywa się co 20 minut i maszyna z tego samego powodu nie jest czynną także w ciągu 5 minut.

Pierwszy rozwiązujący zadanie to otrzyma egzemplarz Kurjera bezpłatnie do końca b. r. Rozwiązania należy oddać do administracji, oznaczając je na kopertach literami „S. D.“

Logogryf noworoczny.

Ze zgłosek: drje, niów, ha, tur, le, wil, lec, mi, u, o, ki, lem, yol, tra, ko, dec, lo, wan, cy, ewi, jej, ta, re, ba, fer, a, chaś, kąt, so, czyn, kuł, te, se, ka, u, o, ski, mo, ni, ry, ski, waś, u, czen, pi, wiec, ski, ści, włoś, a, ra, san, wiez, sters, ków, stacz, i, lek — ułożyć 23 wyrazy, których początkowe litery z góry na dół i końcowe z dołu do góry dadzą dwuwiersz z życzeniami.

Znaczenie wyrazów jest następujące:

- 1) Literat humorysta.
- 2) Ulica w Warszawie.
- 3) Zdobniałe imię męskie.
- 4) Rzeka w Finlandji.
- 5) Zmarły minister polski przy dworze rosyjskim.
- 6) Zmarły niedawno muzyk.
- 7) Duchowny turecki.
- 8) Rodzaj gwoździ.
- 9) Umizgi.
- 10) Gatunek jelenia.
- 11) Specjał emerytów.
- 12) Poeta polski.
- 13) Osada w radomskim.
- 14) Miasto w Chinach.
- 15) Nazwa zakonu.
- 16) Wioska pod Warszawą.
- 17) Produkt koński.
- 18) Jakie miasto zdobyli Anglijcy?
- 19) Miasto powiatowe w gub. warszawskiej.
- 20) Ozdoba głowy u kozaków.
- 21) Nazwa gołębia.
- 22) Zakonnik.
- 23) Miasteczko w gubernji kijowskiej.

E. Skowroński.

SZARADA NOWOROCZNA.

Gdy rzucim okiem pierwsze, drugie trzecie,
Widzim, że całe bywają zwodnicze,
Jednakże czasem ziszczają się przecie...
Więc niech się spełnią — to dziś wszystkim życzę.

J. A. Zygmunt.

UWADOMIENIE.

Dr. BORYSIEKIEWICZ,
docent okulistyki przy C. K. uniwersytecie wiedeńskim, ordynuje w Wiedniu: Alserstrasse nr 7, od godziny 2 — 3 po południu.
W razie potrzeby mogą mieć chorzy opiekę domową.

— Dr med. Bronisław **Chrostowski**, ordynator szpitala św. Rocha, przeniósł mieszkanie w aleję Jerozolimskie nr 18c, 3-ci dom od Nowego-Swiatu.

Romans i Powieść

najtańszy tygodnik powieściowy ilustrowany
z premją **BEZPŁATNA**

Na rok 1883 redakcja przygotowała do druku dwutomową powieść **Piotra Jakub Bykowski** pod tytułem: **Lepsze dobre imię, niż złe maćce drogie.**

Następnie pomieszczoną zostanie **Michała Bałuckiego**, powieść, osnuta na tle małomiejskich stosunków galicyjskich, pod tyt. **Burmistrz z Lipidówki.**

Jako premjum bezpłatne dla wszystkich prenumeratorów, którzy w pierwszym kwartale złożą całoroczną przedpłatę redakcja przeznacza dużych rozmiarów broszurowane w okładce **Album malarzy polskich.**

Administracja i ekspedycja: Podwał 21.

Magazyn M. Dzierżanowskiej,

BIELAŃSKA nr 4,

poleca: koronki ruskie do bielizny, fanszony, chusteczki, włóczkowe kamizelki i sukienki, pończochy, skarpetki bez szwu, chustki ręcznej roboty i t. p.

Wszystko po cenach umiarkowanych.

Bronisław Starzyński, budowniczy,

mieszka obecnie przy ulicy Ogrodowej nr 5.

Zdniem 1 lutego 1883 r. otwieram

Pracownię Strojów i Okryć Damskich

na placu Witkowskiego w domu pod nrem 3

(o kilka kroków od przystanku tramwajów),

O czem donosząc Szanownej Publiczności, zawiadamiam zarazem, iż wszelkie obstalunki, w zakresie krawieczyzny damskiej wchodzące, podług najświeższych żurnali punktualnie wykonywać będę po cenach jaknajprzystępniejszych.

Anna.

**BIURO AGENCJI OGŁOSZEŃ DO
WSZYSTKICH DZIENNIKÓW P. F.
RAJCHMAN i FRENDLER, PRZE-
NIESIONEM ZOSTANIE Z DNIEM 9
STYCZNIA 1883 roku, do UMY-
ŚLNIE W TYM CELU URZĄDZO-
NEGO SKLEPU, W DOMU A. F.
GALLE, PRZY ULICY SENATOR-
SKIEJ N. 18.**

**PRZYJMOWANIE OGŁOSZEŃ
PO CENACH REDAKCYJNYCH.**

HOTEL RZYMSKI w Warszawie, A. BOCQUET,

urządzony zupełnie podług wymagań nowoczesnych. — Numery od 75 kop. do rs. 5. — Przy hotelu zaprowadzone są Kąpiele i Pysznice, jak również Restauracja urządzona z komfortem i prowadzona pod moją firmą **A. Bocquet**. — Gabinety z fortepianami. — Ogród zimowy i letni (Salon oszklony). — Wina po cenach praktykowanych w handlu moim.

Skład Win i Delikatesów A. BOCQUET, w gmachu Teatralnym,

zaopatrzony w znaczne zapasy Win, wszelkiego gatunku, w Konserwy, Pasztety, Ostrygi, Homary i Ryby morskie, nadechodzące ciągle w świeżych transportach.

ŚNIADANIA I KOLACJE.

Tanie, dobre, oryginalne WINA naturalne

SPRZEDAJE

KAUKAZKI SKŁAD WIN

z własnych winnic

dziedzicznego obywatela honorowego

Jana Gr. Zurabowa,

25, Senatorska 25, dom Neprosa.

Winnice moje istnieją od r. 1814.

I zyskawszy zupełne zaufanie w Charkowie i Odessie, mam nadzieję, że i Sz. Publiczność Warszawska w dalszym ciągu ocenić łaskawie będzie dobre i czyste gatunki Win, oraz niskie ich ceny.

Wina moje znajdują się na składzie i w następujących handlach które sprzedają je po tych samych cenach, co skład główny.

1. L. Krupski, Plac S-go Aleksandra, Skład win i towarów kolonialnych.
2. L. Kostecka, ulica Nowolipie № 25,
3. A. Pawłowski, róg Chmielnej i Brackiej " " "
4. M. Osinska, ulica Żelazna № 20 " " "
5. J. Bartold, Skład owoców, Marszałkowska № 50.
6. B. Zalewski, Skład owoców, ulica Senatorska № 2.

PP. Restauratorom zwracam uwagę, na tę okoliczność, że wina moje mieć będą etykiety francuskie bez numerów.

Tani Tydzień.

Po raz pierwszy w Warszawie praktykowany. Z powodu wielkiego natłoku Szanow. Panów kupujących, przed świętami w znanym powszechnie ze swej taniości

SKŁADZIE TOWARÓW,

przy rogu ulic Dzikiej i Nowolipek dom Brauna Nr 1, w bramie 1-sze piętro, nie byłem w stanie pomimo najgorętszej chęci, zadowolić, podać i usłużyć każdemu z należnym mu uszanowaniem i wdzięcznością, i bardzo dużo Szanow. Publiczności nie było w stanie wszystkie swoje zakupy uskutecznić. Dla wywdzięczenia się więc i chęć aby każdy mógł skorzystać z niebywalej taniości mego składu, postanowiłem na wzór istniejących, znanych całemu światu magazynów: **Au printemps, Quatre coins, Le Louvre, Le petit Thomas, Au bon marché**, w Paryżu, oraz jak **Rudolph Hertzog i Gerson** w Berlinie, urządzić **Tanią (nadzwyczaj tanią) sprzedaż**, trwającą od Niedzieli 31 Grudnia do 10 Stycznia 1883 roku.

Jestem pewny, że każdy odwiedzający mój zakład, przysła, że bardzo słusznie Szanowna Publiczność Warszawska i prowincji, nazwała skład mój „**Najtańszym źródłem w Warszawie**”, gdyż mogę śmiało zaręczyć, że rzeczywiście nie ma nigdzie tańszej sprzedaży jak u mnie. — Nie podaję Cennika towarów, gdyż sprzedaż ta będzie wyjątkowo tania.

Dziś sprzedaję przeznaczonem zostało: Kaszmiry, Atlasy, Diagonale, Rypsy Ombreuil, Adamaszk, Velvety, Płótna, Cretony białe, Madapolamy, Victoria, Perleale, Creassy, Ręczniki, Prze-cieradła, Barchany, Karty, Flanelki, Dymki, Drelichy, Piki, Halki, Koldry pikowe i wełniane, Chustki, Flanki, Bielizna męska i damska, między innymi:

Barchany drukowane, na suknie i kaftanki dla dzieci i sług, po kop. 12.

Kaszmiry balowe, cudowne kolory, 2 lok. szerokość, po kop. 70.

Atlasy balowe, cudowne kolory, po kop. 65 i 70.

Koszule damskie, z wstawkami i longietami, po kop. 90.

Ponczochoy balowe, przesłane, po kop. 30.

Wszystkie Reszki o 40% niżej kosztu fabrycznego
Dziękuję Sz. Publiczności za dotychczasowe okazane mi zaufanie, będę się starał wszelkimi siłami, nadal dobrocią i doborem towarów, najtańszymi cenami, oraz najkuratniejszym wypełnianiem obowiązków, zaskarbić sobie względy Szanownej Publiczności, życząc wszystkim **szczęśliwego i pomyślnego Roku**, z okazji z najgłębszym uszanowaniem **IZ. HERTZ**, Skład Towarów, róg Dzikiej i Nowolipek dom Brauna № 1, w bramie.

Zakład Fotograficzny Nowaczyńskiej, NOWY-SWIAT № 25. ogłasza.

Dla zaniemk z jensy pp. Studentów, uczeni i uczennice tuż najpiękniejszych fotografii artystycznie wykonanych w dwóch pozach rs. trzy. Do 15 b. m. przyjmują się **uczenice na retuszerki**, na zdolniejszą z tychże zapewnia się z nastaniem lata stałe zatrudnienie.

Meble do sprzedania:

Garnitur zielonym aksamitem wyściełany, z 6 krzeseł, 2 foteli i kanapy, składający się, stół przed kanapę, 2 szafy, biurko i umywalka. Niecała Nr 12 (gdzie fotograf Twardzicki), stróż Antoni wskaże.

Dwa Lustra

wielkie w czaranych ramach, żyrandol, kolony i fortepian prawie nowy, anio do sprzedania. — Sienna № 3, mieszka.

Zakład Introligatorski Książ Buchhalteryjnych

Wilhelma Kreusch,

LABIA № 4.

Pralnia chemiczna i farbiarnia

„KAROL”
Chmielna 8.

Senatorska Nr 18, wprost kościoła F. A. GALLE,

Skład materiałów aptecznych i farb poleca się łaskawym względem Sz. Publiczności.

Przy Kantorze Loterii klasycznej Królestwa Polskiego, mam Kantor pism, i przymuje prenumeratę na wszystkie pisma. Elektoralna 11.

PNIEWSKI.

Jedyny specjalny Skład Koronek ruskich

w Warszawie,

ulica Mazowiecka № 3, drugie piętro.
Odbiera wielkie transporty czarnych jedwabnych wstęg bardzo szerokich i wąskich, oraz koloru B ton d'Or.

Chustki crème i czarna
Krawaty, fanszony zjedwablu francuskiego.

Obszycia do chusteczek balowych.

Zarzutki na meble.

Szerokie i grube na potrzeby kościelne.

Do sukien, bielizny i mebli.

Łamie Herbata firmy Szlakowa, jedyna w Warszawie, posiadająca ogromne składy w Moskwie i Petersburgu.

!Aromat lasów iglastych w pokoju!

otrzymuje się przez rozpylanie za pomocą pulweryzatora lub odświeżacza w pokoju małej ilości

Wody leśnej,

którą wyłącznie nabywać można

w WARSZAWSKIM LABORATORIUM CHEMICZNYM.

Płyn ten ułatwiając się, rozwija żywiczne i nieporównanie świeże powietrze lasów jodłowych, sosnowych i świerkowych. Oprócz miłego orzeźwiającego zapachu, posiada nieoszacowane własności higieniczne. Oczyszcza i odświeża ciężkie powietrze mieszkań miejskich w tak wysokim stopniu, że jest zalecany przez lekarzy do oddychania dla cierpiących na choroby płuc i krtani, którzy nie mogą przebywać długo w lesie. — **Flakon po kop. 75 i 40.** Odświeżacz i rozpylacz do niego różnych konstrukcyj po k. 40, 80 i rs. 1.80. — Główny Skład: róg Senatorskiej i Miodowej Nr 1, oraz w pierwszorzędnym Perfumeriach, Aptecznych Magazynach i Aptekach.